NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor.—4 Mrk. 25 fen.—1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 50 fen. 3 Rbs. 60 kop. z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop. z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop. W Ameryce: półrocznie 2 dolary 25 cts.— Rocznie 4 dol. 50 cts.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW, Zacisze 7. Tel. 479.

Redaktor naczelny: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.

Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VII. Kraków, 1 października 1910. Nr. 40.

Krwawy spór wydawniczy.

(Treść na str. 2).



Nr. 40. „Nowości illustrowanych“ zawiera: Mityng awiatyczny w Wiener Neustadt. — Dla ratowania dusz polskich. — Obchód grunwaldzki w Czerniowcach. — Śmierć znakomitego aktora niemieckiego. — Przeniesienie pułku dragonów. — Bursa w Gorlicach. -- Nowe szkoły na kresach zachodnich. — Sara Bernhardt w Anglii. — Zgon znanego księgarza-wydawcy. — Aeroplanem przez Alpy.

Od Administracyi.

Z numerem niniejszym rozpoczynamy czwarty kwartał. Naszych P. T. Czytelników i Prenumeratorów prosimy zatem o dalsze poparcie i o rychłe odnawianie przedpłaty, a to celem uregulowania nakładu.

Zwracamy uwagę, że kto prenumeraty nie nadeśle do 5 października b. r., następnego numeru już nie otrzyma!

Prenumerata „Nowości illustrowanych“ do końca roku z przesyłką pocztową w Galicyi wynosi zaledwie 4 korony.

Naszym P. T. Czytelnikom i Prenumeratorom w Królestwie Polskiem i Cesarstwie Rosyjskiem przypominamy, że ekspedycya naszego pisma na Królestwo Polskie i Cesarstwo, odbywa się w Warszawie i stamtąd też pismo nasze bywa każdego piątku rano wszystkim prenumeratorom rozsyłane.

Nie należy zatem przedpłaty z Królestwa i Cesarstwa przesyłać do Krakowa, ale do

biura G. UNGRA w Warszawie,

Aleja Jerozolimska 78,

albo też można pismo zamawiać za pośrednictwem każdej księgarni tak w Warszawie, jak i na prowincyi.

Prenumerata kwartalna wynosi:

w Warszawie . . .	1 Rbs. 80 kop.
Na prowincyi już wraz z przesyłką pocztową . .	2 Rbs. 60 kop.

Krwawy spór wydawniczy.

(Do illustracyi tytułowej).

Załatwianie sporów na tle finansowem z rewolwerem w ręku, jest podobno w Ameryce na porządku dziennym. U nas atoli należy do nadzwyczajnych rzadkości. I zupełnie słusznie. Wszak mamy na to wymiar sprawiedliwości w sądach, wszak mamy szereg władz i instancyi, których wyroki zapewniają każdemu obywatelowi, o ile czuje się pokrzywdzony w swych prawach i szuka u nich ochrony, bezpieczeństwo mienia i jego spokojne używanie.

To też przykre wrażenie wywarła w szerokich kołach społeczeństwa wiadomość, iż zdarzył się przed kilku dniami wypadek samosądu w sporze wydawniczym między byłym wydawcą „Kuryera Zagłębia“, wychodzącego w Sosnowcu, p. Modzelewskim, a obecnym wydawcą tego pisma p. Kłosowskim. Spór ten był przed kilku miesiącami dość głośny, nikt jednak nie przypuszczał, iż epilog jego będzie tak tragiczny.

Epilog ten rozegrał się w piątek ubiegłego tygodnia wieczorem w ul. Głównej w Sosnowcu. Oto były wydawca „Kuryera“, Modzelewski, spotkał idącego z żoną i teściem następcę swego Kłosowskiego, a zobaczywszy go obok siebie, dobył rewolweru i dał doń trzy strzały, z których dwa były celne i zraniły Kłosowskiego bardzo ciężko w lewą łopatkę i poniżej jej, przebijając ofiarę napadu na wylot. Niebezpiecznie ranny wydawca „Kuryera“ upadł bez zmysłów na ziemię; Modzelewskiego ujęto i oddano w ręce władz bezpieczeństwa.

Nasza dzisiejsza rycina tytułowa przedstawia przykrą chwilę bezpośrednio po wypadku.

Nasza nowa powieść!

Z prawdziwem i szczerem zadowoleniem dzielimy się z naszymi P. T. Czytelnikami wiadomością, iż w jednym z najbliższych numerów, po ukończeniu drukującej się obecnie powieści „Tajemnicze dokumenty“, rozpoczniemy druk **powieści oryginalnej,** napisanej dla naszego pisma przez znanego i tak powszechnie cenionego autora **Wacława Gąsiorowskiego.**

Powieść ta będzie osnuta na tle historycznem, a bohaterem jej będzie

Generał Bem

postać jedna z najpiękniejszych w naszych dziejach porozbiorowych, a dotychczas w literaturze belletrystycznej bardzo mało wyzyskana.

Świetne pióro Gąsiorowskiego, autora szeregu znakomitych powieści historycznych, stanowi rękojmię, że nasza nowa powieść spotka się z przyjęciem jak najlepszem u wszystkich Czytelników.



Mityng awiatyczny w Wiener-Neustadt: Cesarz przy aeroplanie porucznika Blaschkego.

Mityng awiatyczny w Wiener-Neustadt.

Wiadomo, że cesarz Franciszek Józef interesuje się żywo postępem i rozwojem techniki współczesnej wogóle, w szczególności zaś tymi jej działami, które pozostają w jakimkolwiek związku z wojskowością. Tu należy przedewszystkiem aeronautyka i awiatyka, których rezultaty są coraz wspanialsze, coraz bardziej imponujące, a mają dla spraw militaryzmu olbrzymie wprost znaczenie. Nic więc dziwnego, że zainteresował cesarza i mityng awiatyczny, urządzony niedawno w Wiener-Neustadt, tembardziej, że udział w nim wzięło kiku oficerów, oddających się z zapałem lotnictwu.

W niedzielę 18 września popołudniu wybrał się cesarz automobilem do Wiener-Neustadt i przejechawszy przez odświętnie przystrojone miasto, udał się wprost na pole wzlotów.

Dzięki sprzyjającym warunkom atmosferycznym, mityng, w którym wzięli udział wszyscy celniejsi awiatorowie austryaccy, powiódł się doskonale. Głównem zadaniem awiatorów był przelot z pola wzlotów, urządzonego nakładem znacznych kosztów, do Neunkirchen i z powrotem. Przed wzlotem obejrzał cesarz dwadzieścia trzy aeroplanów, ustawionych rzędem i gotowych do startu, przyczem rozmawiał z każdym prawie konstruktorem i pilotem. Najpierw zwrócił się cesarz do porucznika Mieczysława Millera, Krakowianina, który stał obok swego Bleriota a po krótkiej rozmowie z nim przeszedł do dalszych awiatorów i zatrzymał się wkońcu przy aeroplanie „Aquila alba“, braci Schindlerów z Krakowa, wykonanym na podstawie planów inżyniera Brzeskiego.

Niespodziankę stanowiło przed rozpoczęciem mityngu zjawienie się nad trybunami i wylądowanie opodal wojskowego balonu „Parsevala“, odkomenderowanego na ten dzień celem przebycia przestrzeni, oznaczonej konkursem dla aeroplanów.

Następnie odbył się wzlot aeroplanów, których do zawodów stanęło 10 i powiódł się zupełnie szczęśliwie; jedyny moment wstrząsający wywołał wypa-



Mityng awiatyczny w Wiener Neustadt: Cesarz Franciszek Józef na polu wzlotów w czasie rozmowy z Krakowianinem, porucznikiem Mieczysławem Millerem.

dek awiatora Wiesenbacha, który spadł z nieznacznej wysokości wraz z swym dwupłaszczyznowcem, na szczęście jednak wyszedł bez szwanku.

Rezultaty mityngu przedstawiają się wcale pięknie. I tak pierwszeństwo pod względem szybkości zdobył pilot Illner na monoplanie systemu Etricha, przebywając przestrzeń, oznaczoną w warunkach konkursu, w 23 minutach i 3 sekundach, drugim był Adolf Warchałowski na dwupłaszczyznowcu własnego systemu, trzecim porucznik Stohanzl na Voisinie. Także nagrodę za najdłuższe utrzymanie się w powietrzu zdobył pilot Illner, (1 godzina 56 minut), za lot najwyższy zaś przyznano nagrodę A. Warchałowskiemu, który wzniósł się na wysokość 460 m. Lot ten był wogóle najpiękniejszy w czasie mityngu.

W dzisiejszym numerze zamieszczamy szereg oryginalnych zdjęć z mityngu w Wiener-Neustadt.



Mityng awiatyczny w Wiener-Neustadt: Pilot Illner, zdobywca pierwszej nagrody na mityngu awiatycznym w Wiener-Neustadt.

Obchód grunwaldzki w Czerniowcach.

Bukowina, dawne kresy Jagiellońskie, święciła 18 września pamięć wiekopomnego zwycięstwa pod Grunwaldem.

W ciężkich warunkach, otoczona ze wszech stron żywiołem nieprzyjaznym a często wrogim, Polonia bukowińska ożyła na nowo i sztandar pracy narodowej dzierży wysoko. Wybitna praca T. S. L. wśród żywiołu polskiego na Bukowinie, mając do zwalczenia trudności tak z rządem krajowym, jak nie mniej z wrogo do polskości usposobioną ludnością niemiecką, ruską i rumuńską — potrafiła jednak zorganizować pod hasłem swojem mnogie rzesze Polaków. Organizacya owa trwa dalej i z dniem każdym liczba szermierzy narodowych rośnie — praca zatacza coraz szersze koła i da Bóg kiedyś powiemy sobie śmiało: Bukowina jest ocalona i pewna.

Obchód grunwaldzki był świetnym dowodem, że sprawa polska na Bukowinie ma zrozumienie w szerokich warstwach społecznych, że idziemy ku lepszemu jutru. Sam fakt, że w obchodzie w Czerniowcach wzięło udział jakie 5000 z górą Polaków, że samych włościan z najdalszych okolic Bukowiny było 1500 — jest dowodem dobrej organizacyi, rozwoju narodowego i narodowej świadomości.

Obchód rozpoczął się uroczystem nabożeństwem na boisku sokolem. Kazanie okolicznościowe wygłosił ks. Łukasiewicz. O znaczeniu Grunwaldu mówił poseł Zamorski, poczem zasadzono na boisku sokolem „Dąb grunwaldzki“, a poświęcenia go dokonał poseł ks. Kopyciński.



Obchód grunwaldzki w Czerniowcach: Uczestnicy obchodu na boisku po mszy św. polowej.

Z boiska ruszono pochodem do „Domu polskiego“ na odsłonięcie tablicy pamiątkowej. Pochód, uszykowany w kolumny szóstkowe, z Sokołem bukowińskim i włościańską muzyką na czele — stanowił jedną z najpiękniejszych części obchodu. Malowniczość strojów włościańskich, niezwykle melodyjny śpiew dziewcząt wiejskich i parobczaków, wprawiały wszystkich w niekłamany zachwyt. Pochód szedł sprawnie, szedł z godnością, przejęty powagą chwili.

Odsłonięcia tablicy pamiątkowej dokonał prezes Macierzy Towarzystw polskich na Bukowinie, dr. Stanisław Kwiatkowski. Kiedy spadła zasłona, zerwał się huragan oklasków i okrzyków. Tablica — dzieło artysty-rzeźbiarza p. Waleryana Skwarnickiego — wykonana nader pięknie w marmurze wedle obrazu Styki, jest może najpiękniejszą rzeźbą w Czerniowcach, tem dla nas droższą, że stworzoną przez naszego.

Po wspólnym obiedzie, którego urządzeniem zajęły się czerniowieckie Polki, odbył się zjazd delegatów czytelń T. S. L. z Bukowiny, przy udziale 520 delegatów. Ze zjazdu udano się w pochodzie na boisko sokole, gdzie odbyła się zabawa ludowa, w której program weszły ćwiczenia Sokoła, korpusów wakacyjnych i ogólna zabawa taneczna.

Uroczystości grunwaldzkie minęły. Teraz przychodzi praca cicha, praca około organizacyi szkół polskich i czytelń T. S. L. Mamy nadzieję, że nastrój, jaki w dniu uroczystości panował, pracę tę ułatwi.



Obchód grunwaldzki w Czerniowcach: Przemówienie dr. Kwiatkowskiego w czasie uroczystego odsłonięcia pamiątkowej tablicy nad bramą domu polskiego w Czerniowcach.

Śmierć znakomitego aktora niemieckiego.

Niemiecka sztuka dramatyczna opłakuje śmierć jednego z najznakomitszych swych przedstawicieli, artysty wiedeńskiego teatru nadwornego, Józefa Kainza, który w ubiegłym tygodniu zakończył życie po długich cierpieniach. przeżywszy 52 lat.

Urodził się Kainz w Wieselburgu na Węgrzech, gdzie jego ojciec był urzędnikiem kolejowym. Już jako młody chłopak zdradzał Kainz duży talent aktorski i gorące zamiłowanie do teatru. Uczęszczając do szkół w Wiedniu, interesował się więcej przedstawieniami teatralnemi niż greką, wolał organizować amatorskie przedstawienia, niż ślęczeć nad książkami. Musiał też w rezultacie opuścić szkołę. Rodzice, widząc nadzwyczajny zapał chłopca



Mityng awiatyczny w Wiener-Neustadt: Konstruktor aeroplanów Etrich.

i niepospolity talent, pozwolili mu wstąpić do teatru w 16 roku życia. Pierwsze kroki na scenie zaczął więc Kainz stawiać bardzo wcześnie, a to w wiedeńskim teatrze Sułkowskiego. Pobierał równocześnie lekcye deklamacyi u artystki teatru nadwornego Kupfer-Gomańskiej. Postępy robił bardzo szybkie i po roku już został zaangażowany do Marburga w Styryi, gdzie grywał z powodzeniem bohaterów i amantów.



Mityng awiatyczny w Wiener Neustadt: Porucznik Miller z Krakowa na aeroplanie Bleriota.

Przebywał następnie po kolei w teatrach w Lipsku, Meiningen i Monachium. W czasie trzyletniego pobytu w Monachium, zawarł ścisły związek przyjaźni z nieszczęśliwym królem Ludwikiem II, który zachwycał się wspaniałą grą Kainza i obsypywał go odznaczeniami.

Z Monachium przeniósł się Kainz, już jako artysta bardzo sławny, do „Deutsches Theater“ w Berlinie, gdzie kreował szereg wspaniałych ról, jak Ferdynanda w „Intrydze i miłości“, Don Carlosa, Orestesa, Oswalda w „Upiorach“, a przedewszystkiem Romea, który sławę jego ugruntował na zawsze. Stał się też Kainz ulubieńcem publiczności. Mimo to pobyt w Berlinie zakończył się dla Kainza niepomyślnie, zerwał bowiem wskutek niesnasek z dyrekcyą kontrakt a wskutek potępiającego wyroku sądu rozjemczego nie mógł znaleść *engagement* i popadł w nędzę. Wyjechał tedy na czas jakiś do Ameryki, a po powrocie do Europy dostał się znowu do „Deutschs Theater“ w Berlinie.

W r. 1899 wstąpił do związku Burgteatru w Wiedniu i otrzymał zaraz dekret nadwornego aktora. Zdobył przebojem sympatye publiczności i jednogłośne uznanie krytyki wiedeńskiej. Uważano go powszechnie za chlubę teetru nadwornego.

To też wiadomość o ciężkiej, nieuleczalnej chorobie Kainza, a następnie o jego śmierci, wywołała w Wiedniu ogromne wrażenie i szczery żal. Dzienniki tamtejsze poświęciły mu ogromne, serdecznie napisane feljetony, a pogrzeb jego był wspaniałą manifestacyą sympatyi dla wielkiego artysty.

Dla ratowania dusz polskich.

Ktokolwiek bacznie obserwował w ostatnich latach wschodnią Galicyę, ten dostrzegł miłą w niej zmianę, a mianowicie: coraz gęściej zjawiające się kościółki i kaplice polskie w wioskach, zamieszkanych przez Polaków, pozbawionych dotąd kościołów i księży własnych.

Jednym z takich jest nowo wystawiony kościółek we wsi Zapałowie powiatu Cieszanów.

Kościółek ten zbudowano dla przeszło 800 „łacinników“, mieszkających w tej okolicy. Wprawdzie kościółek ten niewielkich rozmiarów, ale bardzo piękny, zbudowany w stylu gotyckim, położony w pięknem miejscu, wznosi się na obszernej powierzchni, ofiarowanej przez księcia Władysława Sapiehę.

Budowa kościółka w Zapałowie przyszła do skutku dzięki ofiarności grona obywateli oraz ludności polskiej z okolicy. Zebrane w ciągu lat paru fundusze nie starczyły jednak na wykończenie wnętrza świątyni. Ludność polska atoli w Zapałowie i okolicy nie wątpi, że znajdą się jeszcze ofiarodawcy, którzy umożliwią dokończenia pięknego i patryotycznego dzieła.



Śmierć znakomitego aktora niemieckiego: Józef Kainz.

Społeczeństwo polskie powinno przyjść z pomocą materyalną komitetowi, budującemu ten kościółek, w Galicyi wschodniej bowiem są świątynie polskie bardzo ważnemi placówkami narodowemi i spełniają wobec ludności polskiej, zamieszkałej wśród większości ruskiej, wielce doniosłą rolę.

Gdyby w ciągu ubiegłych lat stanęło było w tamtych stronach więcej kościołów i kaplic, gdyby się tam znalazło więcej kapłanów-Polaków, sprawa polska na kresach wschodnich inaczejby dziś wyglądała i można było uratować przed zruszczeniem wiele dusz polskich.



Sara Bernhardt w Anglii: Znakomita artystka francuska Sara Bernhardt w chwili wylądowania w Folkestone.



Dla ratowania dusz polskich: Kościółek polski, zbudowany niedawno w Zapałowie.

Maurice Leblanc.

TAJEMNICZE DOKUMENTY.

19 (Ciąg dalszy).

— Teraz mamy spokój — rzekł. — I pan także zatknij zamek ze swej strony; moi przyjaciele dali panu przecież fałszywe klucze?... Tak... teraz dobrze... teraz możemy spokojnie rozmawiać. Mów pan po niemiecku lepiej...

Steinweg odchrząknął.

— Tegoż wieczora, gdy przyszła wiadomość o śmierci Bismarka, wielki książę Herman III i wierny jego sługa wyjechali do Monachium, stamtąd ekspresem do Wiednia, z Wiednia do Konstantynopola, potem do Kairu, Neapolu, do Tunisu, Hiszpanii, Paryża, Londynu, Petersburga, Warszawy — nigdzie się nie zatrzymując, z dworca na dworzec albo na parowiec — i znowu dalej.

— To znaczy, że ścigani, starali się zmylić ślad...

— Pewnego wieczora wyszli z Trewiru, przebrani za robotników, z węzełkami na plecach. Pieszo przebyli 35 kilometrów do Veldenz, gdzie znajduje się stary zamek książęcy rodziny Dwóch Mostów, a raczej ruiny zamku.

— Streszczaj się pan!

— Dzień cały kryli się w sąsiednim lesie, w nocy podeszli pod stare obronne mury. Tu Herman kazał czekać służącemu swemu, a sam przekradł się przez szczerbę, zwaną Wilczą Szczerbą. W godzinę później powrócił. Po tygodniu wędrówek powrócili do Drezna.

— Jakiż był cel tej wyprawy?

— Wielki książę nie powiedział tego służącemu swemu. Jednakże ten odgadł prawdę, a przynajmniej część prawdy, z różnych szczegółów i dalszych faktów. W dwa tygodnie po tej wyprawie, zjawił się u wielkiego księcia hrabia Waldemar, oficer gwardyi cesarza i jego osobisty przyjaciel, w towarzystwie sześciu ludzi. Bawił cały dzień, zamknięty z księciem w jego gabinecie. Raz po raz dolatywały odgłosy gorącej wymiany słów, gwałtownych sprzeczek. Służący, przechodząc ogrodem pod oknami, posłyszał nawet te słowa: „Te papiery zostały panu oddane, Najjaśniejszy Pan wie o tem z pewnością. Jeżeli mi ich książę nie oddasz dobrowolnie“... Ostatecznie cały dom księcia uległ drobiazgowej rewizyi.

— I czegóż tam szukano? Czy pamiętników kanclerza?

— Poszukiwano papierów tajemnych i ważnych, o których przez czyjąś niedyskrecyę wiedziano, że spoczywały w ręku wielkiego księcia Hermana.

— Potajemne papiery i to bardzo ważne?...

— W najwyższym stopniu. Ogłoszenie tych dokumentów mogłoby mieć nieprzewidziane następstwa, tak pod względem polityki wewnętrznej, jak i pod względem stosunków z zagranicą.

— Czyż to być może? — Lupin pałał cały. — Jakiż dowód masz pan na to?

— Jaki dowód? Świadectwo własnej małżonki księcia; to co ona powiedziała wiernemu słudze po śmierci męża... A ponadto dokument! Dokument jego własnoręczny, z jego podpisem, a który zawiera spis tajnych papierów, jemu powierzonych.

— Krótko mówiąc?

— Niepodobna. Dokument jest długi, pełen adnotacyi, uwag, często niezrozumiałych. Zacytuję panu tylko kilka tytułów: „Oryginały listów następcy tronu do Bismarka“. Z dat widać, że listy były pisane podczas trzechmiesięcznego panowania Fryderyka III. A niech pan sobie przypomni chorobę Fryderyka III, jego zatargi z synem...

— Tak, tak... wiem. A dalej?

— „Fotografie listów Fryderyka III i cesarzowej Wiktoryi do królowej Wiktoryi angielskiej“.

— I to? i to także?...

— Przytem adnotacya wielkiego księcia: „Tekst traktatu z Anglią i Francyą“ i te niejasne trochę słowa: „Alzacya i Lotaryngia... Kolonie... Ograniczenie sił morskich“...

— Ach, czyż być może!...

— — — — — — — — — — —

Pod drzwiami gwar. Zapukano. Lupin zmarszczył się.

— Nie można! Jestem zajęty.

Zapukano do drugich drzwi.

— Trochę cierpliwości! Skończę za pięć minut!

Zwrócił się do starca tonem nakazującym.

— Bądź pan spokojny i mów dalej... Otóż wielki książę w zamku Veldenz ukrył papiery. Czy stamtąd ich nie wydostał?

— Nie, gdyż aż do dnia śmierci nie opuścił Drezna.

— Ale nieprzyjaciele jego?

— Skoro się tylko o wszystkiem dowiedziałem, udałem się na miejsce i zasięgnąłem języka w pobliskich wioskach. Otóż dowiedziałem się, że dwa razy od tego czasu przetrząsało cały zamek dwunastu ludzi, przybyłych z Berlina, za pozwoleniem regentów.

— No i?...

— I nic nie znaleźli, czego dowodem, że od tego czasu nie wolno zwiedzać zamku. Pięćdziesięciu żołnierzy z osobistej gwardyi cesarskiej dniem i nocą stoi tam garnizonem.

Głosy podnosiły się z korytarza i znowu zaczęto pukać, wołając starszego strażnika.

— Śpi, panie dyrektorze — odpowiedział Lupin.

— Proszę otworzyć!

— Nie mogę, zamek zepsuty. Jeżeli mi wolno radzić, niech pan każe zamek wyciąć!...

Zwrócił się do starca.

— A więc nie mogłeś pan dostać się do zamku?

— Nie. Ale pewien jestem, że te papiery tam są przechowane.

— Bez wątpienia... bez wątpienia...

Lupin zamyślił się. Co za cudowna zdobycz, o którą warto się kusić! Kufry pełne klejnotów i złota nie nęciłyby go więcej...

Za drzwiami majstrowano coś przy zamku.

— Z czego umarł wielki książę? — zapytał Lupin.

— Umarł z pleurytu, chorował tylko dni parę. Zaledwie na krótko odzyskiwał przytomność i okropnem było widzieć, jak się silił zebrać myśli i mówić w chwilach przytomności. Od czasu do czasu przyzywał żonę, patrzył na nią wzrokiem pełnym rozpaczy i próżno wargami poruszał.

— Czy ostatecznie przemówił?

— Nie, nie przemówił. Ale w jaśniejszej chwili z całym wysiłkiem skreślił znaki jakieś na kartce papieru, którą mu żona podała.

— I jakież to były znaki?

— Nieczytelne po większej części. Na początku trzy cyfry zupełnie wyraźnie, 8, 1, 3. A potem następowały litery, z których wyraźne były tylko trzy pierwsze i dalej znowu dwie.

— „Apoon“, nieprawdaż?

— Ach! pan wie...

Zamek w drzwiach zaczynał się chwiać, gdyż prawie wszystkie śrubki wykręcono. Lupin obu rękoma rzucił się przytrzymywać zamek, ażeby nie wyleciał.

— Więc te cyfry i te litery, to była formuła, którą wielki książę przekazywał żonie i synowi dla odnalezienia ukrytych dokumentów?

— Tak.

— A cóż się stało z żoną wielkiego księcia?

— Umarła niedługo potem, mówią, że ze zmartwienia.

— A dziecko przygarnęła rodzina?

— Jaka tam rodzina! Wielki książę nie miał ani braci, ani sióstr. A zresztą ożeniony był potajemnie i tylko morganatycznie. Dziecko zabrał stary sługa Hermana i wychował je pod imieniem Piotra Leduc. Był to chłopak o trudnym charakterze, krnąbrny, kapryśny, niemiły w pożyciu. Pewnego dnia uciekł. Już go później nie widziano.

— Czy on znał tajemnicę swego urodzenia?

— Tak jest. Pokazano mu kartkę papieru, na której ojciec jego, Herman, nakreślił owe cyfry i owe litery.

— I oprócz niego panu jednemu zwierzono tę tajemnicę?

— Mnie tylko.

— A pan wyjawiłeś ją tylko panu Kesselbachowi?

— Jemu jednemu. Przez ostrożność jednak, chociaż mu pokazałem kartkę ze znakami i literami oraz spis, o którym panu mówiłem, zachowałem przy sobie oba te dokumenty. I jak się pokazało, miałem słuszność.

— I dokumenty te masz pan w bezpiecznem schowaniu?

— Mam.

— W Paryżu?

— Nie.

— Tem lepiej. Pamiętaj pan, że cię ścigają i że życiu twojemu grozi niebezpieczeństwo.

— Wiem o tem. Jeden fałszywy krok, a zginę.

— To też bądźże pan zatem ostrożny, zmyl ślad, zabierz swoje papiery i czekaj moich wskazówek. Od dziś za miesiąc najdalej pojedziemy razem przeznakać zamek Veldenz.

— A jeśli ja się do więzienia dostanę?

— Ja pana stamtąd wyciągnę.

— Czyż podobna?...

— Nazajutrz po mojem własnem uwolnieniu. Nie, mylę się — tegoż samego wieczora... w godzinę potem.

— A więc pan ma sposób na to?

— Od dziesięciu minut, i to niezawodny. Czy nic mi pan więcej nie masz do powiedzenia?

— Już więcej nic...

— A więc otwieram...

Pociągnął za drzwi i skłonił się przed dyrektorem.

— Panie dyrektorze, nie wiem, jak mam pana przeprosić...

Nie dokończył. Wtargnął dyrektor więzienia na czele trzech pomocników. Na widok dwóch strażników, rozciągniętych na podłodze, dyrektor oniemiał z gniewu i przerażenia.

— Nie, panie dyrektorze, oni nie zabici! — roześmiał się Lupin. — O, ten się rusza... a tamten śpi smacznie — zmęczony był trochę...

Dyrektor surowo zwrócił się do strażników.

— Odprowadzić go do jego celi... tymczasem. A co do tego odwiedzającego...

Lupin nie dowiedział się nic więcej o zamiarach dyrektora więzienia co do starego Steinwega. Lecz czyż mu na tem zależało? Miał przecież w ręku tajemnicę Kesselbacha!

— — — — — — — — — — —

Jakoś nie naznaczono Lupinowi kary ciemnicy. Widocznie władze więzienne z obawy przed rozgłośnym skandalem, wolały dyskretnie zatuszować sprawę...

Rozdział III.

Wszyscy pamiętają wrażenie, jakie w szerokich kołach czytelników i w sferach politykujących wywarła zagadkowa notatka, jaka się w kilka dni później ukazała w dzienniku „Grand Journal“:

„Poza pamiętnikami Bismarka, które — zdaniem ludzi dobrze poinformowanych — zawierają tylko oficyalną historyę wypadków, w których wielki kanclerz brał udział — istnieje serya listów poufnych, w najwyższym stopniu interesujących.

„Te listy odnaleziono. Wiemy z dobrego źródła, że ogłoszone zostaną niezwłocznie“.

Komentarzom nie było końca. Prasa niemiecka polemizowała. Kto inspirował tę notatkę? O jakich listach była mowa? Czy to zemsta pośmiertna wrogów? Czy niedyskrecya przyjaciela?

Drugi komunikat objaśnił do pewnego stopnia opinię, ale i podniecił ją dziwnie.

Komunikat ten brzmiał:

„Z więzienia Santé, cela 14, oddział 2.

„Panie Redaktorze!

„Umieściłeś pan w wtorkowym numerze wzmiankę, która jakkolwiek zawiera prawdę w zasadzie, domaga się jednak małego sprostowania.

„Te listy istnieją w istocie i nikt nie może zaprzeczyć wielkiej ich wagi, ponieważ od dziesięciu lat są przedmiotem poszukiwań zainteresowanego w tem rządu.

„Nikt jednakże nie wie, gdzie one są, ani co zawierają.

„Pewien jestem, że publiczność nie weźmie mi za złe, jeżeli poproszę ją o trochę cierpliwości, zanim ciekawość jej zaspokoję. Obecne moje zajęcia nie pozwalają mi oddać się tej sprawie tak zupełnie, jakbym tego pragnął.

„Tyle na razie powiedzieć mogę, że listy te umierający wręczył jednemu z najwierniejszych swoich przyjaciół i że ten przyjaciel musiał wskutek tego ponosić ciężkie następstwa swego poświęcenia. Nie oszczędzono mu ani szpiegowania, ani rewizyj domowych.

„Dwom najlepszym ajentom mojej tajnej policyi nakazałem podjąć ten ślad od początku i nie wątpię, że za parę dni zdołam przeniknąć tę nader ciekawą tajemnicę.

Podpisano: Arsen Lupin.

W trzy dni potem czytano w tem samem piśmie:

„Wyjawiono mi imię wiernego przyjaciela, o którym poprzednio wspominałem. Był nim wielki książę Herman III, panujący (choć pozbawiony tronu) w Wielkiem Księstwie Dwóch Mostów Veldenz, a powiernik i przyjaciel Bismarka.

„Rewizyę domową przeprowadził u niego hrabia W. przy pomocy dwunastu ludzi. Rewizya dała rezultat ujemny, wszelako była dowodem, że w posiadaniu w. księcia były te papiery.

„Gdzie on je ukrył? Oto pytanie, którego w danej chwili nikt chyba rozwiązać nie zdoła.

„Ja podejmuję się rozwiązać je do jutra.

Podpisano: Arsen Lupin.

I rzeczywiście nazajutrz ukazała się obiecana notatka:

„Owe słynne listy ukryte są w feudalnym zamku Veldenz, stolicy w. księstwa Dwóch Mostów, w zamku częściowo zburzonym w biegu XIX stuleciu.

„W którem miejscu dokładnie? I co to są za listy? Te dwa zagadnienie staram się obecnie rozwiązać, a rozwiązanie podam za dni cztery.

Podpisano: Arsen Lupin“.

W dniu oznaczonym wyrywano sobie pismo „Grand Journal“. Zawód był nielki, gdyż zapowiedzianego wyjaśnienia nie znaleziono. Ani nazajutrz, ani dnia następnego.

— Cóż się to stało?

Dowiedziano się niebawem, wskutek niedyskrecyi popełnionej przez kogoś w prefekturze policyi. Dyrektor więzienia otrzymał ostrzeżenie, że Lupin komunikuje się z wspólnikami za pomocą paczek z kopertami, które w więzieniu kleił. Nie udało się wprawdzie nic odkryć, ale na wszelki wypadek zabroniono nieznośnemu więźniowi wszelkiej roboty.

Na to niepoprawny więzień miał podobno odpowiedzieć:

— Ha, trudno! Skoro nie mam nic do roboty, zajmę się moim procesem. Chciałbym się widzieć z adwokatem moim, panem Quimbel.

I w istocie, Lupin, który dotychczas nie chciał rozmawiać z panem Quimbel, zgodził się przyjąć go i przygotowywać swoją obronę.

II.

Zaraz nazajutrz p. Quimbel zażądał widzenia się z Lupinem w rozmownicy adwokatów.

Był to człowiek starszy, w grubych okularach. Położył kapelusz na stole, rozłożył tekę i zaraz też zaczął stawiać szereg pytań, oddawna starannie przygotowanych.

Lupin odpowiadał niezmiernie uprzejmie, sypał obfitością szczegółów, a pan Quimbel notował wszystko skwapliwie.

— Twierdzi pan tedy — powtarzał adwokat, chyląc głowę nad papierami — że równocześnie...

— Tak jest, mówię, że równocześnie... — odpowiadał Lupin.

Nieznacznie, ruchem zupełnie naturalnym, wsparł się obu łokciami na stole. Potrosze opuścił łokcie, wsunął rękę pod kapelusz pana Quimbel, zapuścił palce między skórkę a podszycie kapelusza i pochwycił zwitek papieru, ułożonego wzdłuż, jaki zakłada się pomiędzy skórkę o podszycie, gdy kapelusz jest nazbyt obszerny.

Ostrożnie rozwinął papier. Na papierze, umówionymi znakami, nakreślił Dondeville:

„Przyjąłem miejsce służącego u p. Quimbel. Może pan bez obawy odpowiadać tą samą drogą.

„To L. M., morderca, zadenuncyował, że korespondowaliśmy przy pomocy kopert. Na szczęście przewidział pan ten obrót rzeczy!“

Następowało szczegółowe sprawozdanie ze wszystkich faktów i komentarzy, wywołanych komunikatami Lupina.

Lupin wyciągnął z kieszeni podobny zwitek papieru, zawierający różne instrukcye i wskazania i ostrożnie założył go w miejsce usuniętego.

I tym sposobem bez zwłoki zaczęła się znów korespondencya Lupina z dziennikiem „Grand Journal“.

„Niech mi publiczność daruje, że nie dotrzymałem słowa. Poczta w więzieniu źle jest zorganizowana.

„Zresztą dochodzimy do końca. Mam w ręku wszystkie dokumenty. Poczekam z ich ogłoszeniem. Podaję jednak do wiadomości, że pomiędzy listami są też i listy, pisane do kanclerza przez tego, który uważał się wtedy za ucznia jego i wielbiciela, a który w kilka lat później pozbył się tego niewygodnego mu opiekuna i przyjaciela sam...

„Sądzę, że wypowiadam się zrozumiale“.

Nazajutrz pojawiła się nowa wzmianka:

„Listy te pisane były podczas choroby ostatniego cesarza. Czy to nie świadczy o tem, jak bardzo są ważne?“

W cztery dni później drukowano tę sensacyjną notatkę:

„Ankieta moja skończona. Teraz już rozumiem wszystko. Natężeniem myśli odgadłem tajemniczą kryjówkę.

„Moi przyjaciele udadzą się do Veldenz i pomimo wszelkich przeszkód dostaną się do zamku wejściem, które im wskażę.

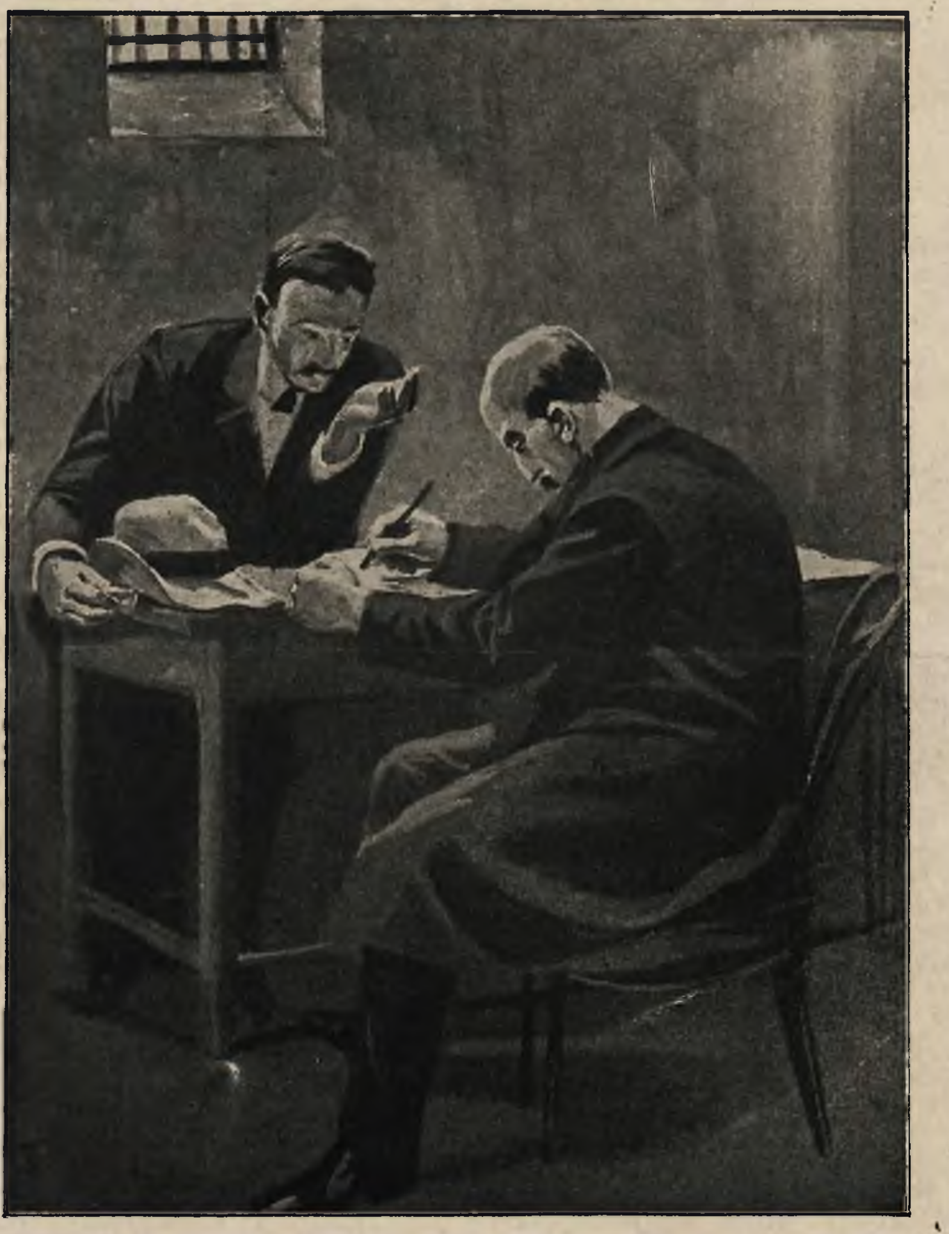
„A wtedy dzienniki ogłoszą fotografie tych listów, których treść ja znam, ale które chcę ogłosić w ich oryginalnem brzmieniu.

„To ogłoszenie, które zapowiadam nieodwołalnie, nastąpi za dwa tygodnie od dziś, a więc dnia 22 sierpnia.

„Aż dotąd milczeć będę i będę czekał“.

— — — — — — — — — — — —

Komunikaty do dziennika „Grand Journal“ ustały w istocie, ale Lupin nie zaprzestał korespondencyi z wspólnikami swymi przy pomocy „kapelusza“. Takie to proste było! Bez żadnego niebezpieczeństwa. Któżby mógł przeczuć, że kapelusz adwokata służył Lupinowi za puszkę do listów?



Wsunął rękę pod kapelusz pana Quimpel i zapuścil palce między skórkę a podszycie kapelusza.

Pewnego dnia jednakże dyrektor więzienia otrzymał telegram z poczty miejskiej, podpisany L. M., a ostrzegający go, że prawdopodobnie pan Quimbel musi służyć Lupinowi za mimowiednego listonosza i że dobrzeby było zwrócić na to uwagę.

Dyrektor przestrzegł pana Quimbel i ten odtąd postanowił zabierać zawsze ze sobą swego sekretarza.

Znowu więc raz jeszcze, mimo wszelkich wysiłków Lupina, mimo płodnej jego pomysłowości i cudów zręczności, które po każdej porażce ponawiał, odgrodził go od świata zewnętrznego piekielny geniusz groźnego jego przeciwnika.

A odgrodzonym od świata ujrzał się w najkrytyczniejszej chwili, w uroczystym momencie, gdy z głębi więzienia wygrywał ostatni swój atut w grze ze sprzysiężonemi przeciw sobie mocami.

— — — — — — — — — — — —

W dniu 13 sierpnia siedzącemu naprzeciw obu adwokatów nasunął się na oczy dziennik, w który papiery p. Quimbel były owinięte.

Uderzył go tytuł, drukowany tłustym drukiem: 813.

Poniżej czytał: „Nowe morderstwo. Poruszenie w Niemczech. Czyżby tajemnica Apoon była odkrytą?“.

Lupin pobladł, zdjęty lękiem. Przeczytał te dalsze słowa:

„Dwie sensacyjne depesze dochodzą nas w ostatniej chwili.

„Odnaleziono w pobliżu Augsburga trupa starca, zamordowanego nożem. Tożsamość jego ustalono. Jest to Steinweg, znany ze sprawy Kesselbacha.

„Skądinąd telegrafują nam, że sławny detektyw angielski Sherlock Holmes został naglące wezwany do Kolonii. Spotka się tam z cesarzem i stamtąd udadzą się obaj do zamku Veldenz.

„Sherlock Holmes obiecał podobno odkryć tajemnicę Apoon'u.

„Jeżeli mu się powiedzie, marnie chybi celu niezrozumiała kampania, którą w tak dziwny sposób prowadzi od miesiąca Arsen Lupin“.

III.

Publiczność pałała zaciekawieniem, jaki też będzie wynik tego szczególniejszego pojedynku pomiędzy Holmesem a Lupinem.

W czterech ścianach swojej celi więzień przechodził męki, nie tylko męki bolesnej ciekawości, ale szarpiącego niepokoju i trwogi.

Czuł się sam, czuł się bezsilny. Na nic teraz zręczność, pomysłowość, odwaga. Walka toczyła się poza nim. Przygotował wszystko — nakręcił wszystkie sprężyny maszyneryi, a teraz do dnia oznaczonego musiał czekać na wątpliwy wynik swych zabiegów... A nuż chybią, nuż nieprzewidziane czynniki i przeszkody obalą gmach, tak sztucznie budowany?

I nachodziła go straszna wątpliwość, czy zamiast oczekiwanego tryumfu, nie czyha nań okropna dola zesłańca.

— — — — — — — —

Nadszedł 17 sierpień... potem 18... 19... Jeszcze dwa dni, dwa wieki raczej...

Nadszedł 21, ostatni dzień...

Lupin obudził się późno, po nocy pełnej złych snów.

Nie widział się z nikiem dnia tego; nie wezwano go do nikogo, ani do sędziego śledczego, ani do adwokata.

Godziny popołudniowe zeszły powolne i posępne i nadszedł wieczór, mroczny wieczór więziennej celi.

Lupin czuł, że ma gorączkę. Serce w piersiach biło mu młotem. — A czas upływał...

Dziewiąta wybiła, nic. Dziesiąta. Cisza...

Lupin poczuł, że ogarnia go rozpacz i wściekłość. Pięścią bił się po głowie, półprzytomne słowa, jak w malignie, błąkały mu się po ustach.

Nagle zgrzytnął klucz w zamku. W wybuchu rozpaczy nie dosłyszał odgłosu kroków na korytarzu i oto nagle smuga światła przeniknęła do celi i otworzyły się drzwi.

W drzwiach stanęło dwóch ludzi...

— — — — — — — — — — —

— Czy mam zaświecić elektryczność? — zapytał jeden z nich, w którym Lupin poznał dyrektora więzienia.

— Nie — odpowiedział obcy. — Ta latarnia wystarczy.

— Czy mam wyjść?

— Niech pan czyni wedle obowiązujących przepisów.

— Wedle instrukcyj, danych mi przez pana prefekta, mam się zastosować do wyrażonych mi życzeń.

— Jeżeli tak, to wolę, żebyś nas pan opuścił.

Dyrektor wyszedł, zostawiwszy drzwi niedomknięte i został na korytarzu na odległość głosu.

Lupin w półcieniu dostrzegł przed sobą sylwetę wysokiego mężczyzny w obszernym płaszczu automobilowym, w czapce z opuszczonymi brzegami.

— Jestem książę Waldemar, wysłannik i pełnomocnik monarchy — przemówił obcy, odchylając na chwilę brzegi czapki i odsłaniając dobrze znaną twarz powiernika i przyjaciela cesarza.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Pałac pobiskupi w Wolborzu ziemi piotrkowskiej.

Ojczyzna nasza z tysiącletnią przeszło cywilizacyą swoją, posiada niezliczoną ilość pomników świetniejszej niegdyś przeszłości. Dosyć rozejrzeć się wokoło, aby na każdym niemal kroku napotkać na jej ślady, czy to na śnieżnych szczytach Tatr, czy w mrocznych lasach Litwy lub u brzegów Bałtyku, gdzie bandera nasza powiewała, aż po rubieże Polski w Dzikie pola, zasiane mogiłami obrońców ojczyzny i całego chrześcijaństwa.

Niestety wiele z tych pamiątek niszczeje pod wpływem czasu i wskutek niedbalstwa ludzi, a wiele także przechodzi w obce, nieraz żydowskie, ręce.

Do ocalałych acz zrujnowanych pamiątek zaliczyć trzeba pałac pobiskupi w Wolborzu na ziemi piotrkowskiej Królestwa polskiego.

Wolborz, to miejscowość historyczna. W roku bieżącym upłynęło bowiem 500 lat od czasu, kiedy wojska polskie z całej Korony zebrały się tam, aby ruszyć na bój zacięty z Krzyżaki. Wielka to była uroczystość, kiedy na polach rozłożyły się chorągwie polskie, owiane duchem patryotyzmu i przeświadczeniem, że niosą swoje życie w świętej sprawie, bo w obronie honoru wielkiego narodu.

W Wolborzu, położonym o dwie mile od Piotrkowa Trybunalskiego, naznaczył Władysław Jagiełło punkt zborny dla swej armii. Sam zamieszkał wraz z biskupami w starożytnym zamku, który później zniszczyli Szwedzi. W r. 1655 przebywał w Wolborzu Jan Kazimierz, ale on już prastarego zamku nie zastał, gdyż biskup Józef Lipski przebudował go w r. 1626. Wkrótce jednak pod Wolborz nadciągnęli ponownie Szwedzi i zniszczyli pałac biskupi, który w następstwie musiał przebudować biskup Antoni Ostrowski. Wtedy to stanął wielki pałac biskupi, w którym fundator podejmował w r. 1775 króla Stanisława Augusta przez dni trzy. Taką świetną historyę miało to miasto, dziś osada, licząca zaledwie około 3000 mieszkańców.

Powyższe trzy gmachy pałacu pobiskupiego stoją od kilku miesięcy pustkami, przeto społeczeństwo, jak również mieszkańcy Wolborza, winni się zwrócić do danej władzy o nabycie ich i urządzić w niej projektowaną szkołę rolniczą z zapisu śp. Seweryna Miniszewskiego (który zastrzegł sobie, by była na ziemi piotrkowskiej) i śp. Oktawiana Łuczyckiego.



Pałac pobiskupi w Wolborzu ziemi piotrkowskiej: Front pałacu pobiskupiego.



Fot. M. Todt, Przemyśl.

Przeniesienie pułku dragonów: Generalicya i delegacye pułków przemyskich, żegnające 8 pułk dragonów.

Przeniesienie pułku dragonów.

Stosunki między ludnością cywilną a wojskowością w Przemyślu są obecnie jak najlepsze. Od czasu przeniesienia komenderującego Galgotzy'ego, którego wystąpienia nacechowane były zawsze pogardliwą niechęcią wobec ludności miasta, stanowisko komendantów korpusu przemyskiego zajmowali ludzie wielce taktowni i życzliwi wobec „cywilów“, to też po pewnym czasie wróciła harmonia w stosunkach wojskowości z ludnością cywilną.

Wyrazem tego było pożegnanie 8 pułku dragonów, który w drugiej połowie września opuścił Przemyśl, przeniesiony na stałe leże do pobliskiego Jarosławia. Przenosiny odbyły się nie koleją, lecz konno i w pełnym rynsztunku.

W dniu opuszczenia Przemyśla odbyło się na dziedzińcu koszar przy ul. Mickiewicza uroczyste nabożeństwo, poczem cały pułk wyruszył w drogę. W ulicach i placach, którymi żołnierze przejeżdżali w drodze do Jarosławia, pełno było publiczności, która serdecznie żegnała odchodzących żołnierzy.

Aż do rogatek miasta odprowadziła pułk cała generalicya przemyska, delegacye tamtejszych pułków oraz orkiestry wojskowe 10 i 45 p. p.

Tego samego dnia stanęli dragoni w Jarosławiu, gdzie zostali ulokowani w nowych koszarach przy ul. Poniatowskiego.

Zgon zasłużonego patryoty.

Z pośród nielicznych już szeregów żołnierzy ostatniej naszej walki o niepodległość ubyła znowu postać bardzo wybitna i powszechnie ceniona, śp. Stanisław Krzywda Kieszkowski, oficer wojsk polskich z 1863 r., były naczelnik sekcyi towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń, człowiek powszechnie we Lwowie i Krakowie znany i z powodu zalet serca i umysłu ogólnym otaczany szacunkiem.

Sp. Kieszkowski urodził się 1844 r., do szkół uczęszczał w Przemyślu i we Lwowie, tam też rozpoczął, po złożeniu egzaminu dojrzałości, studya na



Fot. M. Todt, Przemyśl.

Przeniesienie pułku dragonów: 8 pułk dragonów w czasie nabożeństwa na podwórzu koszar.

politechnice. Studya te przerwał wybuch powstania w 1863 r., a Kieszkowski, zawsze gorący patryota i czynny w kołach młodzieży, pospieszył jeden z pierwszych w szeregi walczących. Odbył całą kampanię, a w bitwie pod Radziwiłłowem został zraniony.



Zgon zasłużonego patryoty: Ś. p. Stanisław Krzywda Kieszkowski.

Po upadku powstania dostał się do więzienia we Lwowie i dopiero po kilku miesiącach odzyskał wolność. Zarzuciwszy myśl kończenia przerwanych studyów na politechnice, wstąpił do towarzystwa wzajemych ubezpieczeń i po wielu latach sumiennej pracy, jako naczelnik sekcyi, przeszedł na emeryturę.

Poza pracą zawodową zajmował się śp. Kieszkowski bardzo gorliwie literaturą, a wiele jego utworów prozą i wierszem było drukowanych w pismach codziennych i peryodycznych. Napisał też kilka utworów scenicznych.

W życiu publicznem brał żywy i czynny udział. Należał do założycieli towarzystwa wzajemnej pomocy uczestników powstania 1863 r. i do najgorliwszych tego towarzystwa członków; odznaczając się doskonałą wymową, zabierał często głos na zebraniach publicznych.

Cześć jego pamięci!

Bursa w Gorlicach.

Poseł sejmowy Władysław Długosz należy do ludzi, którzy nie szczędzą nigdy grosza, gdzie idzie o poparcie rzeczy godziwej, rzeczy pięknej i szlachetnej. Ofiarność jego na cele użyteczności publicznej znana jest powszechnie. Najpiękniejszym zaś dowodem tej ofiarności jest ufundowanie bursy w Gorlicach.

Poseł Długosz, właściciel dwu wsi w powiecie gorlickim miał niejednokrotnie sposobność zapoznać się bardzo dokładnie z położeniem wiejskiej ludności i z bliska się przypatrzeć biedzie chłopskiej. Widząc zaś wśród wielu włościan ochotę szczerą do posyłania synów do szkół średnich, co jednak z powodu ogólnego ubóstwa rzadko tylko mogło dojść do skutku, postanowił ludności tej przyjść z pomocą. W tym celu wybudował kosztem 100.000 koron piękny, obszerny gmach na pomieszczenie bursy dla synów włościańskich, gmach urządzony wedle najnowszych wymagań hygieny, a obliczony na 40 uczniów, którzy za opłatą 20 koron miesięcznie znajdą tam całkowite utrzymanie. Że zaś wśród dzieci włościańskich będzie sporo i takich, które nawet 20 koron nie będą mogły opłacać, więc państwo Długoszowie aby i tym najuboższym umożliwić uczęszczanie do szkół, złożyli osobny fundusz w kwocie 25.000 koron, z którego procentów będzie się opłacać kilka bezpłatnych miejsc stypendyjnych w tej bursie dla najbiedniejszych a odznaczających się pilnością i zdolnościami uczniów.

Niedawno właśnie odbyło się uroczyste poświęcenie i otwarcie tej bursy przy bardzo licznym udziale ludności okolicznej, przybyli nadto wiceprezydent rady szkolnej krajowej dr. Dembowski, członek Wydziału krajowego poseł dr. Bernadzikowski poseł Bojko oraz przedstawiciele miejscowych władz i urzędów.

Uroczystość rozpoczęła się nabożeństwem w kościele parafialnym, poczem ks. kanonik Sos dokonał aktu poświęcenia nowej bursy i przemówił w gorących słowach do zebranej ludności i młodzieży, sławiąc ofiarność posła-fundatora. Przemawiał następnie p. Długosz, wiceprezydent dr. Dembowski, dyrektor gimnazyum w Gorlicach p. Szczepański oraz jeden z uczniów zakładu, dziękując pp. Długoszom imieniem młodzieży za wielką ich ofiarność.

Piękny czyn posła Długosza, który także jako marszałek powiatu gorlickiego niejednokrotnie zaznaczył swą szczerą i prawdziwie życzliwię ofiarność dla ludu, spotkał się z ogólnem uznaniem.



Bursa w Gorlicach: Widok gmachu bursy, ufundowanej przez pp. Długoszów.



Bursa w Gorlicach: Uroczystość poświęcenia bursy.

Nowe szkoły na kresach zachodnich.

W niedzielę ubiegłą odbyły się na Śląsku dwie piękne uroczystości poświęcenia dwóch ważnych placówek narodowych. W południe w polskiem miasteczku Dąbrowie otwarto i uroczyście poświęcono gmach pierwszej szkoły wydziałowej polskiej. Miasteczko przybrało odświętny nastrój. Z budynków publicznych i prywatnych powiewały liczne chorągwie o barwach narodowych, droga do nowej szkoły była również udekorowana. Po nabożeństwie udano się do szkoły pochodem, w którym wzięła udział młodzież szkół ludowych, wydziałowych, górniczych, dalej towarzystwo „Sokół“, straż ochotnicza, weterani, wydział gminny z burmistrzem p. Guziurem na czele, duchowieństwo miejscowe, grono nauczycielskie z przewodniczącym okręgowej rady szkolnej Bobowskim, starostą z Frysztatu, oraz przewodniczącym miejscowej rady szkolnej dr. J. Buzkiem. Po poświęceniu przemawiał do licznych rzesz ludu ks. Chrobok, proboszcz, p. Guziur, dr. Buzek, starosta Bobowski oraz dyrektor szkoły Kretschmann.



Nowe szkoły na kresach zachodnich: Gmach polskiego seminaryum w Białej.

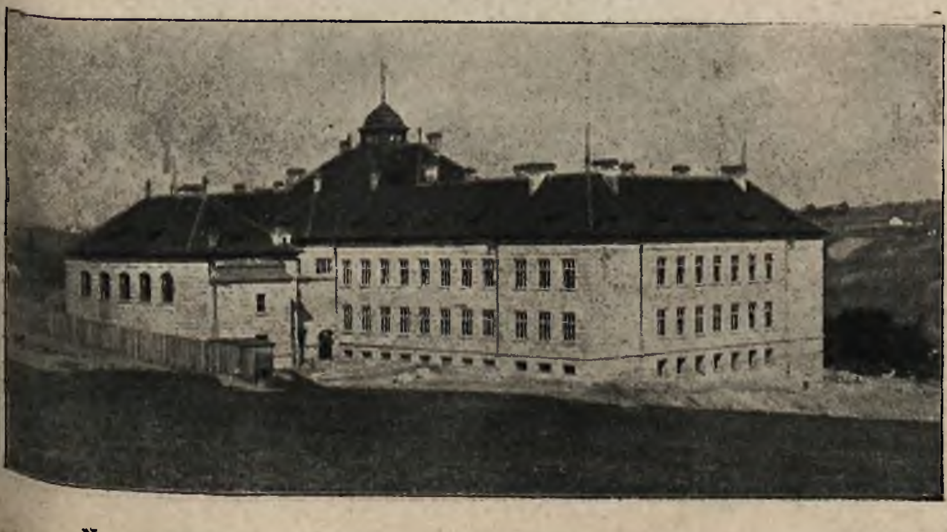
Popołudniu poświęcono gmach polskiego gimnazyum realnego w Orłowie, utrzymywanego przez Macierz szkolną i Towarzystwo Szkoły ludowej.

Po poświęceniu budynku przez miejscowe duchowieństwo obu wyznań, przemówił najpierw delegat Macierzy p. Mohr z Cieszyna, a następnie p. Natanson z Krakowa, imieniem Towarzystwa Szkoły ludowej. Poczem mówił starosta Bobowski, poseł ziemi frysztackiej p. Halfar oraz kilku robotników.

Obok gimnazyum w Orłowie powstaje jeszcze nowa szkoła średnia pod Cieszynem, a mianowicie polskie seminaryum nauczycielskie. Wielki i wspaniały gmach, zbudowany przez rząd na wzgórzu bobreckiem pod Cieszynem, wzbudza zachwyt swą okazałością i ogromem.

Również i w innej stronie Śląska, tuż u jego granic, w mieście Białej powstaje wspaniały gmach, wzniesiony przez Tow. Szkoły ludowej, a przeznaczony do użytku polskiego gimnazyum realnego i seminaryum nauczycielskiego.

Tak Śląsk w roku bieżącym został hojnie wyposażony w polskie szkoły średnie, których obecnie jest 4, t. j. jedno polskie gimnazyum w Cieszynie, dwa gimnazya realne w Orłowie i Białej, oraz seminaryum nauczycielskie w Cieszynie.



Nowe szkoły na kresach zachodnich: Nowy gmach polskiego seminaryum nauczycielskiego w Cieszynie.

Z galeryi hochstaplerów.

W więzieniu śledczem sądu obwodowego w Stanisławowie znajduje się obecnie światowej sławy hochstaplerka, doktorowa Stefanowa Hidveghy, recte Elżbieta Hanus, vel doktorowa Ludwikowa Jelesik, false hrabianka Kornelia Sveinics. Dama ta jest znana w całej prawie Europie z różnych czynów hochstaplerskich, a obecnie poszukuje jej prokuratorya w Budapeszcie. Aresztowana doktorowa Hidveghy wypiera się tożsamości z Elżbietą Hanus, mimo podobieństwa fotografii i poszczególnych rysów twarzy. Opowiada o sobie, że jest rzeczywiście doktorową Hidveghy, z domu hrabianka Sveinics. Mąż jej jest lekarzem pułkowym w Preszburgu w 5 pułku huzarów. Za mąż wyszła lat temu 5, tj. gdy liczyła 16 wiosnę, posprzeczawszy się z mężem, wstąpiła na scenę w Preszburgu, gdzie była pimadonną opery. Po niejakim czasie zakochał się w niej pewien oficer, z którym wyjechała za granicę. Była z nim wszędzie. Znają ją wszystkie stolice Europy, wszystkie miejscowości wogóle, gdzie schadza się arystokracya. Dłuższy czas bawiła też w Monte Carlo i w Ostendzie. W drodze powrotnej porzuciła oficera i zawitawszy do Zagrzebia, nawiązała stosunek z jakimś panem z „high-life“. Będąc w Wielkim Waraździnie (na Węgrzech) pierwszy raz miała awanturę z policyą z powodu znacznego podobieństwa do Elżbiety Hanus.

Aresztowana dama jest niezwykłej piękności. Szczególniej zaś olbrzymi wpływ wywierają jej oczy. Toalety ma eleganckie, również perfum używa bez liku.

Jak się zwierzyła, ma zamiar wydać swe pamiętniki, które będą olbrzymio sensacyjne. Tymczasem zaś sędzia śledczy Ojak, któremu dyrektor policyi stanisławowskiej Łukomski oddał aresztantkę, bada ją, chcąc dojść prawdy. Że mu się to uda, nie ulega wątpliwości!



Z galeryi hochstaplerów: Aresztowana pod zarzutem oszustw Elżbieta Hanus, rzekoma doktorowa Hidveghy, z domu hr. Sveinics.

Zgon znanego księgarza wydawcy.

W nocy ze środy na czwartek zmarł o godzinie drugiej współwłaściciel znanej warszawskiej księgarni nakładowej, śp. Jan Robert Gebethner.

Urodzony w r. 1860 jako syn zmarłego przed dziesięciu laty Gustawa Gebethnera, pobierał początkowe nauki w gimnazyum Barszczewskiego w Warszawie, poczem, w celu gruntownego poznania języka niemieckiego, wysłał go ojciec do gimnazyum w Brzegu na Śląsku. Po ukończeniu tegoż zapisał się na politechnikę ryską, którą ukończył ze stopniem kandydata nauk handlowych. Należał tam do stowarzyszenia studenckiego „Arkonia“ i do końca życia piastował godność prezesa tamtejszych „filistrów“.



Aeroplanem przez Alpy: Awiator Chavez przed wzlotem w Brieg na swym aeroplanie.



Nowe szkoły na kresach zachodnich: Uroczystość otwarcia polskiego gimnazyum realnego w Orłowie na Śląsku.

łudniu do drugiej minut dziesięć, gdyż o tym czasie wylądował aeroplan w Domodossoln po stronie włoskiej. Komisya i publiczność, zebrana na placu lądowania, była przerażona, zobaczywszy Chavesa na tak olbrzymiej wysokości. Sądzono, że nie będzie się mógl zoryentować i dawano mu rozmaite sygnały, wnet jednak spostrzeżono, że z ogromną szybkością opuszcza się ku ziemi. Przy lądowaniu, które nastąpiło bardzo gwałtownie, upadł Chavez pod aparat i leżał chwilę bez ruchu. Lekarze pospieszyli natychmiast z pomocą i skonstatowali złamanie obu nóg. Przeniesiono go natychmiast do szpitala, gdzie pozostać musi dłuższy czas.

W jaki sposób wypadek ten nastąpił, niewiadomo, przypuszczają, że śmiały żeglarz, lecąc z całą szybkością i odpowiadając na owacyjne powitania publiczności, zapomniał zamknąć motor.

Po powrocie do przytomności, dziękował Chavez za owacyę, która była bezpośrednią przyczyną katastrofy i opisał wrażenia, jakich doznał w czasie lotu. Gdy osiągnął wysokość Simplonu, było mu tak zimno, że nie mógł zupełnie ruszać skostniałemi rękami.

Komitet meetingowy oświadczył większością głosów, że przyznaje Chavezowi całą nagrodę w kwocie sto tysięcy franków, mimo że nie dopełnił warunków konkursu, tj. nie doleciał do Medyolanu. Byłoby mu się to z pewnością udało, pokonał bowiem największe trudności.

Po śmierci ojca ujął ster przedsiębiorstwa księgarskiego i wydawniczego, które wkrótce zajęło naczelne miejsce w kraju. Był także i wybitnym działaczem społecznym, a nikt, komu sprawa oświaty leży na sercu, nie zapomni nigdy ofiarności, z jaką śp. Gebethner spieszył zawsze na pomoc zamkniętej obecnie Macierzy szkolnej.

W Warszawie piastował zmarły godność sędziego handlowego i przedstawiciela Zgromadzenia kupców, biorąc czynny udział we wszystkich objawach życia społecznego.

Od roku zapadł śp. Gebethner na słabość nerkową. Z tego powodu zalecili mu lekarze wyjazd do Egiptu, po powrocie jednak, pomimo usilnych zabiegów lekarzy, czuł się coraz gorzej, tak że lada chwila spodziewano się katastofy.

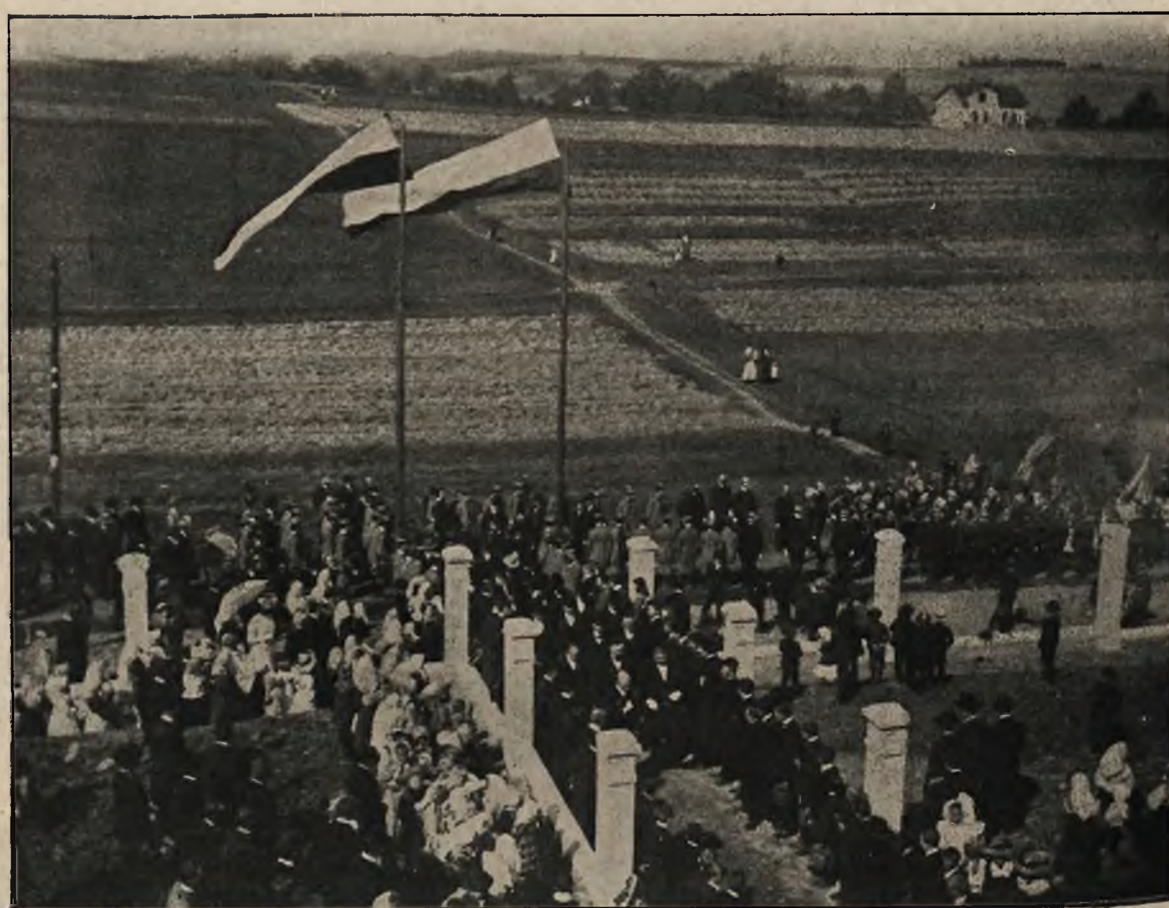
Zmarły pozostawił żonę, Maryę z Hersów i pięcioro dzieci. Pozostają oni spadkobiercami Gebethnera i łącznie z p. Józefem Wolfem współwłaścicielami firmy.

Wzorowy obywatel kraju, człowiek zacny i dobry chlebodawca, śp. Jan Gebethner pozostawił po sobie żal i pamięć jak najlepszą.

Aeroplanem przez Alpy.

Ogólne zainteresowanie sportowych kół całego świata obudził wzlot aeroplanów ponad Alpami o nagrodę w kwocie 100.000 franków. Do konkursu stanęło kilku awiatorów, palmę pierwszeństwa zdobył Chavez na aeroplanie systemu Blérotia.

Chavez wzniósł się z miejscowości Brieg, położonej 959 metrów nad poziomem morza i przeleciał ponad Simplonem, osiągając z samego prawie początku wysokość 1100 metrów. Lot trwał od godziny pierwszej minut dwadzieścia dziewięć popo-



Nowe szkoły na kresach zachodnich: Uroczystość otwarcia polskiej szkoły wydziałowej w Dąbrowie na Śląsku.



Nowe szkoły na kresach zachodnich: Gmach szkoły wydziałowej w Dąbrowie.



Nowe szkoły na kresach zachodnich: Gmach polskiego gimnazyum realnego w Orłowie.

ARNOLD GALOPIN.

ZAWIKŁANA SPRAWA.

5

— Och Stang, za kogo ty mnie masz? — zawołałem, nibyto dotknięty. — Czy ty możesz mnie posądzać o coś podobnego... Czy to ja jestem...

— Już dobrze, już dobrze, nie gniewaj się Ralfie!... nie trzeba mi tego brać za złe... ja czasem lubię sobie pożartować... ale to bez złej myśli. No, podaj mi rękę!

Bez przekonania uścisnąłem rękę tego dwuznacznego indywiduum, rękę, którą niebawem zapewne przyjdzie mi skuć kajdankami.

— A teraz będę się ubierał — oświadczył Stang. — Jeżeli cię to żenuje, możesz poczekać na mnie na polu.

Zapewniłem go, że nie i tym razem szczerze. Przecież, ażeby być obecnym przy tej ceremonii, popełniłbym więcej podłości, niż dworak, rwący się do tego, by pomagać przy ubieraniu króla. Siadłem sobie przeto na niskiem krzesełku i przybrałem pozę i minę młodzieńca, dumającego o niebieskich migdałach. W prawym kącie zielona, kitajkowa firanka osłaniała garderobę szofera. Ta firanka niezupełnie sięgała do ziemi i mimowoli hypnotyzował mnie widok półtuzina błyszczących obcasów, widocznych z poza niedostającej do ziemi kitajki.

Stang przed lusterkiem, zawieszonem na oknie, golił sumiennie brodę, co mu na razie przeszkadzało mówić. Plecami był do mnie zwrócony i ręka moja już się instynktowo wyciągała w kierunku rzędem stojącego obuwia... Chciałem uchwycić dowód prawdy, opanowałem się jednak. Lusterko mogło mnie zdradzić... Ach! pochwycić, pochwycić parę tych trzewików, choćby tylko jeden trzewik i biedz, biedz do Green-Park!

Bojąc się, bym nie zdradził miotającego mną wzruszenia, zacząłem nucić dla kontenansu:

„Po bladem liczku łezka spłynęła,
Kiedym ją żegnał nad brzegiem mórz —
A moją duszą żałość szarpnęła,
Bo ja jej nigdy nie ujrzę już!...“

— A to co? Co ty tam śpiewasz? — odwrócił się ku mnie Stang.

— Taką sobie piosenkę żeglarza.

— Toś ty służył w marynarce?

— Tak jest, służyłem.

— Czy długo?

— Półczwarta roku.

— A w Brazylii — czy ty byłeś w Brazylii?

— Byłem owszem... Dlaczego pytasz?

— Tak sobie tylko.

I zaczął dalej skrobać brzytwą brodę. Czułem, że nie śmiał stawić mi pytania, które mu wargi paliło... jednakże ja odgadywałem myśl jego... Oczywiście słyszał o tem, że rząd brazylijski nie wydaje zbrodniarzy i już układał swoje plany... Ogoliwszy się, Stang podszedł do kitajkowej firanki; odsunął ją i ukazała się skromna jego szatnia. Mnie serce gwałtownie zaczęło bić. Rząd obuwia, starannie wyglansowanego, błyszczał przed moimi oczyma. Było tego cztery pary, w tem para kaloszy śniegowców. Stang zdjął z kołka kraciaste pantalony, przywdział je starannie, a potem zawrócił po trzewiki, nachylił się i zastanowił.

Śledziłem uważnie jego ruchy. Wziął najpierw w rękę parę sznurowanych półtrzewików, formy amerykańskiej, zważył w ręku i postawił na miejscu. Para zapinanych bucików stała obok; na te się zdecydował. Szybkim ruchem otarł je rękawem z pyłu, którego zresztą nie było i postawił je przed krzesłem.

— A niechże cię kaci! — zachwycałem się — ty, to się stroisz, jak uie byle kto!... a trzewiczki masz, jak jaki lord!

— To u nas tak!... — mrugnął ku mnie Stang — na nic sobie nie potrzebujemy żałować...

I zaczął wdziewać trzewiki. Czyniąc to, bez ceremonii wyciągał ku mnie nogi, to jedną, to drugą naprzemian i zaprentował mi z kolei obiedwie swoje podeszwy. Długie były, wązkie, zwężające się ku końcem, z końcami prosto ściętymi. I były *podzelowane!*

Nie wiem już, jaki skrupuł, jaka potrzeba upewnienia się jeszcze lepiej, sprawiła, że nie rzuciłem się na szofera, nie przewróciłem go i choćby z pomocą brauninga, nie wydarłem mu tych dowodów winy, świadectw spełnionego morderstwa... „Mój przyjaciel“ naturalnie ani na chwilę nie przypuszczał, jaka walka wrzała w moim umyśle, podczas gdy on spokojnie zapinał guzik za guzikiem... W pozycyi, w której się znajdował, łatwoby mi było przewrócić go na ziemię... Jednakże kilka błędów, popełnionych w początkach mojej karyery, nauczyło mnie unikać przedwczesnych wybuchów. A przytem nie moją było rzeczą aresztować tego człowieka. To już należało do urzędowej policyi.

Stang tymczasem spokojnie kończył toaletę. Uzupełnił ją szkockim krawatem, pikową białą kamizelką, kurtką z szewiotu, granatową; przywdział popielaty filcowy kapelusz kształtu melonika, wziął w rękę trzcinową laseczkę i wyciągnął z szuflady parę nowych żółtych rękawiczek, których jednak nie naciągnął. Nagle jednak spostrzegł, że zapomniał czegoś w swojem roboczem ubraniu; był to portfel z brązowej skóry, wypchany papierami; wsunął go szybko a nieznacznie do kieszeni, jak gdyby się lękał, że ja zobaczę, co on zawiera. Wreszcie spojrzał na zegarek:

— Brawo! — zawołał — zdążę jeszcze na pociąg, który odchodzi o jedenastej czterdzieści sześć!... Do widzenia, chłopcze!... Idź, zjedz śniadanie na mieście! Na rogu Sussex-Street i Wimbledon Place jest mała, niedroga restauracyjka, gdzie mają wyborne piwo... Radbym cię tu zatrzymać... ale sam rozumiesz, że to niemożebne... Dopóki ja tu jestem, wszystko w porządku, ale tak... toby się mogło Betsy nie spodobać... Ja wrócę prawdopodobnie około piątej... szóstej najdalej... No, do widzenia! a nie upij się aby!

I Stang, uścisnąwszy mi rękę, odszedł dziarskim krokiem.

Rozdział V.

Nie tracąc ani chwili czasu, wziąłem, jak to mówią, nogi za pas i podążyłem w stronę lasku, który mi rano służył za schronienie. Wyszedłem stamtąd po chwili, przedzierzgnięty w skończonego dżentlemana. Udało mi się nawet kapelusz odnaleźć. Zamiast wracać do siebie, poszedłem spiesznie do kupca automobilów, nazwiskiem Bloscham, który mieszkał u wejścia do miasta. Dostałem się do garażu, wołając:

— Panie Bloscham! Panie Bloscham!

Mały człowieczek, o skośnych oczach, wysunął się z poza jednego z automobilów, u którego właśnie nadymał pneumatyki; spojrzał na mnie zaskoczony:

— Czem panu mogę służyć? — zapytał, kłaniając się.

— Jakto? czy pan głowę stracił? Nie poznaje mnie pan?

— Nie, proszę pana... to jest, zdaje mi się, że pana już gdzieś widziałem... ale...

Przypomniałem sobie moją twarz ucharakteryzowaną, której nie zdążyłem obmyć.

— Zaraz panu powiem moje imię... tymczasem będę od pana żądał przysługi... Muszę stanąć w Melbourne przed przyjściem pociągu, który wychodzi z Brood-West o jedenastej czterdzieści sześć!

Mały człowieczek skoczył, jak gdyby go prąd elektryczny raził.

— Niepodobieństwo! — zawołał, spojrzawszy na zegar, wiszący na ścianie w głębi garażu. — Jest teraz dokładnie jedenasta minut czterdzieści dwie; pociąg odchodzi za cztery minuty.

— Musi tak być, mówię panu. Zapłacę, co będzie trzeba... i do tego z góry. Czy ma pan gotową maszynę?

— Jest ta tutaj... ale muszę napełnić powietrzem jeszcze jeden pneumatyk.

— Więc spiesz się pan!

— Kiedy to niepodobna, doprawdy panie...

Podczas gdy biedny Bloscham zwijał się przy maszynie, ująłem wiadro, naczerpnąłem wody przy studni i z pomocą chustki szybko zmyłem szkaradną maść, która mi twarz szpeciła.

— No i cóż, czy poznajesz mnie pan teraz? — zapytałem, przystąpiwszy bliżej.

— Ach! pan Dickson! co za niespodzianka!... A to dopiero! Gdybym był mógł przypuścić, że to pan, ten brzydki jegomość... ach przepraszam... chciałem powiedzieć...

— Dobrze, dobrze... spiesz się pan!

— Żeby się panu przysłużyć, panie Dickson, zrobię wszystko, co możebne i więcej, niż możebne.

I rzeczywiście zaczął się zwijać ze zdwojonym pospiechem. Ten człowiek miał względem mnie dług wdzięczności, gdyż niedawno temu dopomogłem mu w bardzo zawikłanej sprawie, przyczem wykazałem jego niewinność i obroniłem jego honor. Byłem pewien, że i on wszystko zrobi dla ocalenia mojego.

— Jestem gotów, panie Dickson — rzekł po krótkiej chwili. — Niech pan wsiada, jedziemy! Jarry! Jarry! daj baczenie na garaż, wyjeżdżam na kilka godzin!

Ruszyliśmy z miejsca.

W tej samej chwili ostry świst lokomotywy oznajmił nam, że kuryer wjechał na stacyę. Odległość pomiędzy Brood-West a Melbourne wynosi tylko czterdzieści dwa kilometry koleją, drogą jednakże do pięćdziesięciu trzech, gdyż droga prowadzi zakrętami, a w środku jej znajduje się dość wysokie i mocno strome wzgórze. A zresztą — i w tem była cała trudność — kuryer w trzydzieści pięć minut przebywa całą tę przestrzeń. Trzeba więc było dobrze pospieszać, ażeby go wyprzedzić.

Maszyną o sile sześćdziesięciu koni, jaka nas wiozła, nie przedstawiało to trudności, o ilebyśmy na drodze nie spotkali żadnej przeszkody i mogli przebyć szybko miasteczka Long House i Merry-Town, dosyć puste mieściny. Przez pierwsze siedm kilometrów mniej więcej jechaliśmy wzdłuż toru kolejowego, to też z radością widziałem, że kuryer zostawiamy w tyle; wkrótce jednakże wypadło nam zjechać na krętą drogę i zacząć podjeżdżać pod Dyabelską Górę, wznoszącą się pod kątem piętnastu stopni. Automobil Bloschama szczęśliwie wydostał się na wzgórze i teraz z szaloną szybkością pędziliśmy ku Long-House. Kuryer musiał być w tej chwili bardzo daleko za nami, a ja radowałem się w duszy na myśl o Stangu, który ani przypuszczał, że detektyw przyłapie go na gorącym uczynku w Melbourne i już go nie puści.

Mój plan był bardzo prosty. Pójdę za nim krok w krok, albo, jeżeli będzie potrzeba, każę go tropić tajnym ajentom... Zanim się założy kajdanki mojemu pseudo-krewniakowi, trzeba będzie wpierw zebrać pewne wskazówki, niezmiernie ważne dla mnie. Morderca pana Hugona Chancera mógł mieć wspólników. Może więc będę miał do czynienia z potężnie zorganizowaną bandą rzezimieszków i złodziei. Stang wydawał mi się za głupi, żeby miał sam jeden być twórcą pomysłu zbrodni... A jednak był on jej narzędziem, wszystko tego dowodziło; to też należało szybko wyjaśnić, co jeszcze pozostawało niejasnem w wykonaniu tak zręcznie obmyślonej zbrodni. A przedewszystkiem nie podobna było przypuścić, by złodziej morderca poszedł sobie, nie wyciągnąwszy żadnej korzyści ze swego zbrodniczego czynu. Znaleźliśmy w biureczku pana Hugona Chancera znaczną sumkę w złocie, trudno jednak było uwierzyć, by cały majątek starego pana ograniczał się do stu ośmdziesięciu funtów gotówki. Musiały być jeszcze jakieś papiery, złożone prawdopodobnie u jego zastępcy prawnego... Przedewszystkiem więc winienem się znieść z owym zastępcą prawnym nieboszczyka; szczęśliwy przypadek odkrył mi jego imię; był nim M. R. C. Withworth, Fitzroy Street 18 w Melbourne. Trzeba się więc będzie zgłosić do tego pana Withworth, gdyż on prawdopodobnie musiał być pośrednikiem pomiędzy panem Chancerem a różnymi australskimi bankami.

Przejechaliśmy już miasteczko Merry Town i już nam się zaczęły ukazywać z daleka pierwsze domy miasta Melbourne, gdy nagle automobil nasz zaczął się zacinać. Najpierw odezwało się kilka szybkich i głośnych eksplozyi, a potem już ciszej ciągnęło się dalej jakieś chorowite parskanie.

Zbladłem, a Bloscham zaklął nieprzystojnie.

— Przekonaj się pan, co to jest! — zawołałem, chwytając go za ramię.

Bloscham zeskoczył i zaczął badać maszynę.

— Nie chce się zapalać! — rzekł, nachylony nad motorem.

— Co się zepsuło? — pytałem niecierpliwie.

Uderzył się w czoło gestem rozpaczliwym, pobiegł do miedzianego rezerwoaru, umieszczonego na froncie, odkręcił korek, zajrzał i żałośnie zawołał:

— Benzyny brakło, panie Dickson!

Miałem ochotę zadusić go na miejscu. Wściekłość moja wybuchła potokiem łajań i klątw.

— Myślałem, że wystarczy, panie Dickson!...

— Myślałeś pan, że wystarczy!... Ach idyoto, niedołęgo ostatni! Przez pana ucieknie mi jeden z najniebezpieczniejszych morderców... a moje dobre imię... a...

Drwiący gwizd kuzyna, przelatującego o kilka metrów od nas, zamknął mi usta i wprawił mnie w niemą rozpacz. Gdyby to przynajmniej telegrafować można, albo zatelefonować na stacyę Melbourne! Ale nie. Byliśmy o jakie pół mili od Merry Town i pociąg przyszedłby wpierw, nim jabym zdążył na pocztę w tem mieście...

Nie posiadałem się z rozdrażnienia, mój poczciwy Bloscham zaś przysiadł na zapylonym gościńcu i głośno desperował. Wkońcu uspokoiłem się i spojrzałem na zegarek. Było dokładnie dwadzieścia minut po dwunastej i pociąg musiał właśnie wjeżdżać na stacyę.

— Może jednakże nie wszystko przepadło — zacząłem rozumować. — Bardzo być może, że ten

Stang wróci do willi Crawford. Niczego się nie domyśla... Dlaczegoby miał uciekać?... Uciekając, przyznawałby się do winy... I zacząłem wmawiać w siebie, że zastanę go wieczorem w małym pawilonie, gdzie świadczył mi gościnność z tak wzruszającą serdecznością. Ostatecznie, skoro mi umknął, musiałem i tak prowadzić dalej moje śledztwo, musiałem widzieć się z panem Withworth i z nadinspektorem policyi. A zresztą kto wie, może i tego bandytę Stanga spotkam gdzie w mieście? To nałogowy pijak, z pewnością do różnych „barów“ wstępować będzie...

— Jak daleko stąd do Melbourne? — zapytałem Bloschama, który wciąż jeszcze desperował na środku drogi.

— Będzie z mila, panie Dickson — wyjąkał biedak, machając rękoma rozpaczliwie, jak wiatrak.

— Dobrze, pójdę piechotą... Przepraszam pana, panie Bloscham, że pana trochę skrzyczałem, ale już nie mam żalu do pana... Ileż panu jestem winien?

— Żartuje pan, panie Dickson... zresztą i tak od pana nie przyjąłbym ani grosza... za wiele panu zawdzięczam... Ach, cóż za fatalność! Właśnie kiedy chciałem przysłużyć się panu...

— Jeszcze się znajdzie inna sposobność, mój panie Bloscham... A oto, skoro chce mi się pan przysłużyć, jest na to sposób...

— O, niech pan powie jaki?

— Niech pan zawsze w garażu swoim trzyma maszynę, gotową do drogi... maszynę, w której nie zabraknie benzyny...

— Proszę na mnie liczyć, panie Dickson i jeszcze raz proszę, niech mi pan wybaczy!

— Już to panu mówiłem, że się nie gniewam! A teraz, do widzenia! Prawdopodobnie dziś wieczór odwiedzę pana!

I otrzepawszy z siebie chustką pył, o ile się tylko dało, wyruszyłem pieszo ku Melbourne.

Rozdział VI.

Nie jest to żadną rozkoszą, wysiadłszy z wygodnego automobilu, wędrować pieszo dobrą milę w piekącem słońcu i w pyle. Zwłaszcza też dla detyktywa, który już sądził, że przyłapał zbrodniarza, a tymczasem widzi nagle, że ten zbrodniarz zdystansował go tak znacznie. Na szczęście jednak jestem potrosze filozofem, przeszkodą zaś niełatwo się zrażam. To też z paltotem pod pachą przebyłem tę milę w godzinę i dziesięć minut, a gdym wchodził na przedmieście Melbourne, biło właśnie wpół do drugiej. Skinąwszy na przejeżdżającą dorożkę, kazałem się najpierw zawieść do hotelu i tam też przedewszystkiem oczyściłem się, umyłem i ogoliłem. Następnie kazałem się zawieść na ulicę Fitzroy Street 18.

W bramie domu znalazłem tabliczkę: C. A. Withworth, Agent. III piętro. Wbiegłem na trzecie piętro i zadzwoniwszy, oddałem bilet służącej. W chwilę potem dziewczyna wprowadziła mnie do gabinetu, pełnego sprzętów i różnych przedmiotów. W pośrodku stał drobny starzec, przed starym, dębowym stołem; bujną miał czuprynę i długą siwą brodę.

— Czy mam przyjemność mówić z panem Withworth?

— To ja — odpowiedział starzec, wskazując mi ręką krzesło.

Siadłem. Pan domu wydał mi się raczej zbieraczem, niż człowiekiem do interesów, gdyż oprócz różnych starych rzeźbionych mebli w pokoju, zauważyłem, że na ścianach wiszą liczne obrazy i stara broń. Pan Withworth patrzył na mnie pytająco, poprawiając fałdy szlafroka i czekał, co ja mu powiem.

— Panu wiadomo, kim jestem? — zacząłem. Skinął głową.

— I to również panu wiadomo, że pan Hugon Chancer z Green-Parku nie żyje?

— Obłożyłem zastrzeżeniem wszystkie papiery, które nieboszczyk posiadał.

— Uprzedza pan moje pytanie, łaskawy panie; a więc pan był zastępcą prawnym tego biednego pana Chancera?

— Byłem jego mężem zaufania, tak... zajmowałem się lokacyą jego kapitałów. Pan Hugo Chancer był moim najlepszym przyjacielem.

— A więc wszystko dobrze i ja rad jestem, że trafowi zawdzięczam pański adres. Często pan widywał pana Chancera?

— Nie widziałem go od dwudziestu pięciu lat; ale powtarzam to panu, był to mój najlepszy przyjaciel... Stosunki podtrzymywaliśmy listownie...

— Zna pan zatem doskonale majątkowe położenie pana Chancera?

— Tak jest... działałem w jego imieniu przy każdem kupnie i każdej sprzedaży walorów.

— A więc pan posiada numery jego papierów?

— Mam spis dokładny, proszę pana.

— Ale nie same papiery?

— Nie... pan Chancer trzymał je u siebie.

— A zatem zostały skradzione?

— Tak przypuszczałem... i dlatego zrobiłem co do nich urzędowe zastrzeżenie.



Następnie wziął lupę ze stołu i dokładnie badał każdą sztukę.

— To bardzo przezorny krok, który się w dalszym biegu sprawy przydać może. Niech mi pan wybaczy, ale czy pan nie sądzi, że pan Hugon Chancer został zamordowany?

— Ja co do tego nie mam sądu... to należy do policyi. Postąpiłem tak, jak sądziłem, że mi postąpić należy... tyle tylko.

— I bardzo szczęśliwą miał pan myśl, proszę pana... Mojem zdaniem pan Chancer padł ofiarą morderstwa rabunkowego... i jestem w tej chwili na tropie...

— Sądzi pan, że na dobrym?

— Tak jest...

— No to dobrze!

— Muszę panu przedewszystkiem powiedzieć, że robiłem poszukiwania w domu nieboszczyka i nie znalazłem żadnych innych walorów, oprócz stu ośmdziesięciu i trzech funtów w złocie.

— Pan Chancer, powtarzam to panu, chował u siebie wszystkie dowody swoich akcyi i obligacyi... Mój zacny przyjaciel był bardzo nieostrożny... on nawet szafy żelaznej nie miał. Wiem, że papiery swoje zamykał w gabinecie swoim w mebelku bardzo ładnym i cennym, który ja mu sam niegdyś sprzedałem.

— W sekretarzyku z różanego drzewa?

— Tak jest... widział go pan naturalnie? To starożytny i pamiątkowy mebelek...

— Ja właśnie w jednej z szufladek tego sekretarzyka znalazłem to złoto, o którem panu mówiłem.

— Powinny były być tam i papiery... Jesteś pan detektywem... niech pan wyciąga wniosek...

— Ja zaraz myślałem, że tam popełniono kradzież...

— Tak, tę gotówkę, którą pan znalazł, zostawiono tam umyślnie dla niepoznaki.

— I ja tak sądzę, proszę pana.

Staruszek namyślał się chwilę i ciągnął dalej:

— Jedno mnie jeszcze uderza, oprócz tego, co mi pan powiedział... a to, że tak małą sumkę w gotówce znaleziono w sekretarzyku.

— Sto ośmdziesiąt trzy funtów.

— Wiem... Pan Chancer, który był dziwakiem, chował zawsze u siebie po dziesięć do piętnastu tysięcy franków w złocie... i co dziwniejsza, znaczył wszystkie złote monety... to była jego mania... Ach! to taki był dziwak, ten biedny Hugon!

Podałem panu Withworth cztery suwereny, które dnia poprzedniego wsunąłem do kieszeni. Starzec zbliżył się do okna i dobrze je przy świetle obejrzał. Następnie wziął lupę ze stołu i dokładnie badał każdą sztukę.

— Te suwereny nigdy nie były własnością pana Chancera — oświadczył.

— Jakto?

— To prawda... Mówiłem panu, mój szanowny przyjaciel miał taką manię: znaczył wszystkie swoje złote monety swoim szczególnym znakiem.

Pan Withworth zawezwał mnie do okna, a dając mi w rękę lupę i jedną ze złotych monet, rzekł:

— Niech się pan przekona, że niema niczego na szyi królowej...

— Nie rozumiem! — zdziwiłem się.

— No tak... Pan Chancer miał pieczątkę bardzo subtelną i ostrą, ledwo dostrzegalną gwiazdkę sześcioramienną, którą wyciskał na wszystkich monetach, w okolicy szyi i twarzy.

Podziwiałem ten pomysł nieboszczyka, który mi tak doskonałą broń dawał do ręki. Pan Witworth silnie po kolei rzucił wszystkie cztery monety o płytę hebanowego stolika i rzekł:

— A zresztą te monety są fałszywe!

I naciął brzeg jednej z nich ostrzem swego scyzoryka.

— Są one robione z bezwartościowego aliażu — ciągnął dalej — lecz skądinąd dobrze naśladowane. To piękna fałszerska robota.

Gdybym jeszcze nie miał ustalonego zdania, nie mógłbym już teraz wątpić; Stang nie był tej miary, by tak umiejętną kradzież sam jeden obmyśleć. Stang był tylko narzędziem, był wykonawcą szajki zręcznych złoczyńców, którzy na uboczu obmyślali zamachy, z całym zasobem wiedzy i wykształconej wyobraźni. Zapłaci głową za ten zaszczyt... być może... ale to mało. Moja ambicya w tem, by zdemaskować prawdziwie winnych, to jest tych, którzy skorzystali z tak bezprzykładnego zamachu. To też już obmyślałem sposoby.

— Czy pozwoli mi pan — zapytałem — przepisać numery papierów, które były własnością pana Chancera?

Starzec zgodził się jak najchętniej i przedstawił mi całkowity wykaz papierów, akcyi i walorów, będących w posiadaniu pana Chancera; wszystko to przepisałem staraunie w moim notatniku. Pisząc, rachowałem równocześnie, bo chciałem wymiarkować wartość majątku zmarłego. Wynosił ten majątek do czterechkroć stu tysięcy funtów!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Śmierć znakomitego dyplomaty.

W dniu 18 września br. zmarł w Paryżu ambasador rosyjski Aleksander Iwanowicz Nelidow, jeden z najwybitniejszych dyplomatów obecnej doby. W czasie swej pięćdziesięciopięcioletniej działalności na rozmaitych stanowiskach dał się poznać jako silna indywidualność i zwolennik idei słowianofilskich, w obronie których walczył zawsze z energią, choć nie zawsze z powodzeniem.

Ale też nie należał on nigdy do fanatyków słowianofilskiego obozu. Trzeźwy i rozumny, trzymał



Śmierć wybitnego dyplomaty: Ambasador rosyjski w Paryżu, ś. p. Aleksander Iwanowicz Nelidow.

się zdala od urojeń i chimer, był politykiem realnym, działał więc odpowiednio do wymagań rzeczywistości, a nie fantazyi. W tem też tkwił powód, dlaczego tyle wpływu miał u dworu i dlaczego tyle stosunkowo sukcesów udało mu się osiągnąć w dyplomacyi. Kilkakrotnie chciano mu powierzyć stanowisko ministra spraw zagranicznych, ale on propozycye te zawsze odrzucał, wskazując, że także jako „podległy" potrafi być pożytecznym.

Aleksander Nelidow urodził się w r. 1835 w Kiszyniewie, jako syn kierownika bessarabskiego okręgu naukowego. Ukończywszy z wyszczególnieniem gimnazyum kiszyniewskie, przeszedł na wydział prawniczy uniwersytetu petersburskiego, uczęszczał także do instytutu języków oryentalnych.

W r. 1865 powołano go do ministerstwa spraw zagranicznych i przydzielono do departamentu azyatyckiego, gdzie w ciągu lat dziesięciu rozwinął nader żywą działalność. Następnie sekretarzował w Atenach, Wiedniu i Konstantynopolu, a w r. 1877 kierował dyplomatyczną kancelaryą naczelnego komendanta rosyjskiej armii operacyjnej w Turcyi. Po ukończeniu wojny opracował preliminarz pokoju, zawartego w San Stepano, a wreszcie wziął udział



Aeroplanem przez Alpy: Lot Chaveza nad przepaściami i górami w kierunku Simplonu.

w kongresie berlińskim, gdzie traktat z San Stepano poddano gruntownej rewizyi.

Po wojnie piastował Nelidow z kolei godność reprezentanta Rosyi w Dreźnie i Konstancynopolu, w r. 1897 objął ambasadę rzymską, skąd już w r. 1904 przeniósł się do Paryża, jako następca ks. Urussowa. Na tem stanowisku oddał ojczyźnie swej niespożyte zasługi, przyczyniając się głównie do utrwalenia przyjaźni francusko-rosyjskiej, doprowadzając do skutku porozumienie włosko-rosyjskie i łagodząc sprawę kreteńską, zaostrzoną w r. 1906. W czasie wojny rosyjsko-japońskiej on głównie pracował nad uśmierzeniem sprawy zajścia pod Hull, w drugiej zaś konferencyi pokojowej w Hadze zastępował interesy Rosyi i wybrany został przewodniczącym.

Z okazyi śmierci Nelidowa cesarz rosyjski i prezydent rzeczypospolitej wymienili przyjazne telegramy.

Zakonnica doktorem filozofii.

Bardzo rzadki wypadek uzyskania doktoratu filozofii przez zakonnicę notują kroniki uniwersytetu we Lwowie. Zaszczytny ten stopień akademicki pozyskała matka Cecylia Łubieńska ze Zgromadzenia Panien Urszulanek, a uzyskała go po długich, sumiennych studyach.

Zakon, którego przedstawicielka złożyła tak piękny dowód wysokiego wykształcenia, zakon PP. Urszulanek, zajmuje się w Galicyi i w innych krajach wychowaniem i kształceniem dziewcząt i na polu tem położył już duże zasługi.

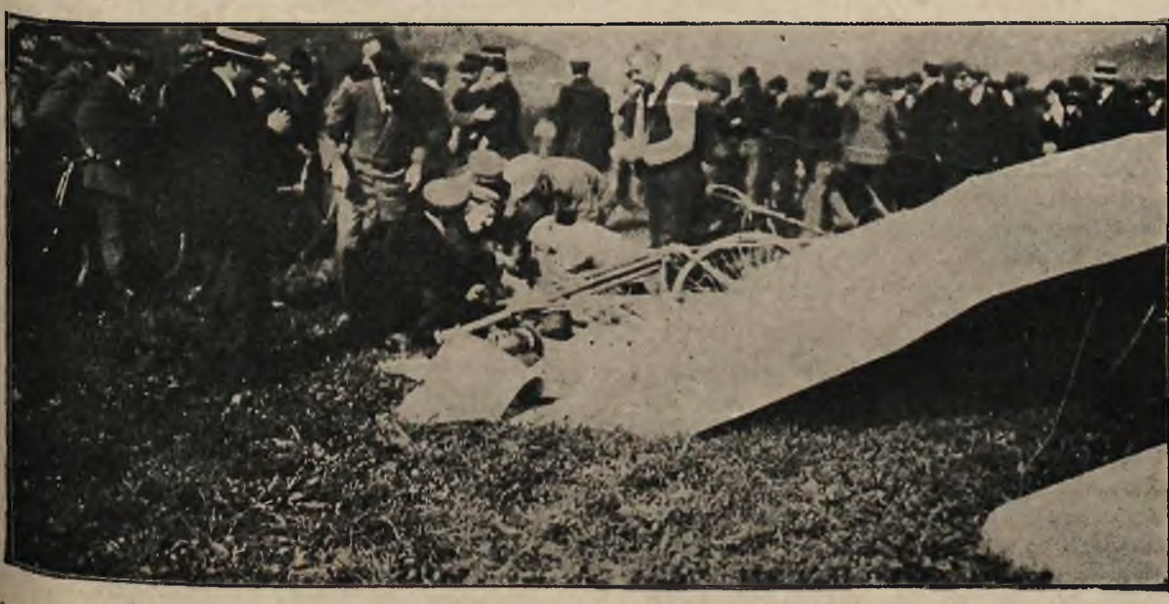
Sara Bernhardt w Anglii.

Głośna artystka dramatyczna, znakomita Sara Bernhardt, wybrała się obecnie na kilkotygodniowy pobyt do Anglii, gdzie ma wystąpić kilkakrotnie w sztuce Rostanda „Orlątko" w londyńskim teatrze Coliseum.

Występy Sary Bernhard, mimo sędziwego już wieku artystki, stanowią zawsze sensacyę artystyczną i ściągają tłumy publiczności, pragnącej ujrzeć i usłyszeć tę niezrównaną aktorkę dramatyczną. Sława Sary Bernhardt datuje się od r. 1867, od jej występów w teatrze „Odeon" w Paryżu. Kilku swemi kreacyami zwróciła ona wówczas uwagę na swój nadzwyczajny talent dramatyczny, a dalsza karyera ugruntowała jej imię i to nietylko we Francyi ale w całym świecie; przyczyniły się do tego jej wycieczki artystyczne po wszystkich niemal większych miastach i teatrach obu półkul.

Obecnie z powodu podeszłego wieku musi prowadzić życie spokojniejsze, nie rozstaje się atoli ze sceną i jest zawsze aktorką nieposolitą. Obecna jej wycieczka do Anglii nie jest pierwszą, gdyż występowała tam już kilkakrotnie.

Nasza rycina, zamieszczona w dzisiejszym numerze, przedstawia Sarę Bernhardt w chwili wylądowania w Folkestone.



Aeroplanem przez Alpy: Słynny awiator Geo Chavez pod gruzami swego aeroplanu, po przeleceniu nad Simplonem. Mimo szybkiej i gorliwej opieki lekarskiej, bohaterski awiator przypłacił śmiałe przedsięwzięcie życiem i umarł wskutek odniesionych ran w kilka dni po wypadku. (Do artykułu na str. 10).



Zgon znanego księgarza wydawcy: Ś. p. Jan Robert Gebethner.

Od Wydawnictwa.

Z powodów od nas niezależnych przeniesienie wydawnictwa „Nowości illustrowanych" do własnego domu opóźniło się o cały tydzień. Wobec tego numer niniejszy wyszedł w zwyczajnym terminie, natomiast numer następny (41) ukaże się o jeden dzień wcześniej, t. j. już w środę 5 października rano.

Kronika tygodniowa.

(Jakie kłopoty wynikły dla mnie po napisaniu poprzedniej kroniki. — Spisek restauratorów na moją całość. — Może jestem w błędzie. — Dzięki Bogu, że nie jest jeszcze gorzej. — Walka z drożyzną a rząd. — Co będzie z mięsem argentyńskiem. — O wielkim Krakowie, przyłączeniu Podgórza i proponowanem uczczeniu prezydenta Lea. — Deficyt krajowego budżetu i czarne horoskopy na przyszłość. — Czy reforma wyborcza jest rzeczywiście nagłą. — Staruch redivivus. — Kanały w sejmie. — Cyganiewicz.

Ostatnia kronika, w której zupełnie zgodnie z prawdą opisałem dwie moje wycieczki do Mogiły i na Wolę Justowską, ściągnęła na mnie pioruny, najpierw w domu, że poważyłem się opuścić fortecę małżeńską bez specyalnego pozwolenia, a następnie ze strony krakowskich restauratorów, którzy postanowili się zemścić za rzekomą obrazę ich zamiejskich kolegów. Pewnych danych w tym wypadku nie posiadam, przypuszczam jednak, że musi istnieć jakaś zmowa, skierowana przeciw mej osobie, w którąkolwiek bowiem zwrócę się stronę i do której wejdę jadłodajni, potrawy są coraz mniejsze, ceny zaś coraz wyższe. Prawdopodobnie chcą mnie ogłodzić!

Zwracałem się już w tej sprawie i do magistratu i do c. k. władz rządowych, pocieszono mnie wszędzie, że się mylę, podrożenie wszelkich artykałów spożywczych jest następstwem obecnej polityki agrarnej i jednakowo dokucza wszystkim mieszkańcom nie tylko Krakowa, ale wogóle całej Golicyi i Głodomeryi, jak to słusznie ojcowie nazwali nasz „bogaty" kraj koronny. Budzą się wprawdzie tu i ówdzie poszczególne jednostki i stowarzyszenia do walki z dławiącą nas zmorą, przebrzmiewają jednak zwykle bez echa, bo wielu z pomiędzy nas przekonuje społeczeństwo, że Bogu i tak dziękować należy, że nie jest jeszcze gorzej.

Związek ekonomiczny urzędników i profesorów zwołał także ogólny wiec celem naradzenia się nad środkami zaradczymi przeciw drożyźnie, cóż jednak poradzimy na to, skoro Wysoki Rząd głuchym jest na nasze wołania. Komisya, w skład której wchodzili i reprezentanci miasta Krakowa, była wprawdzie w Tryeście i spróbowała mięsa z Argentyny, które podobno bardziej przypomina wołowinę, niż wszelkie nasze polędwice, zrazówki i krzyżówki, a kosztuje daleko mniej, nie powzięła jednak żadnych konkretnych postanowień. Co najwyżej pozwoli się mięso argentyńskie przywozić do Wiednia, inne kraje koronne mogą jeszcze poczekać.

Co się tyczy specyalnie Galicyi sprawa ta ma być definitywnie załatwioną równocześnie z chwilą oddania do użytku kanałów Dunaj - Odra - Wisła, Wisła-Dniestr i Rudawa-Pełtew. Ten ostatni kanał uchwalono zbudować celem tem ściślejszego połączenia obu galicyjskich stolic i zadowolenia Rusinów. Aż do tego czasu sprawa drożyzny pozostanie w niezmienionem stadyum, pocieszajmy się więc myślą, że bodaj nasi wnukowie i prawnukowie będą może mieli sposobność najedzenia się za tanie pieniądze.

Takie to kłopoty dręczą mieszkańców rozszerzonego i jeszcze rozszerzyć się mającego Krakowa, który pragnąłby wcielić do swego łona i Podgórze wraz z sąsiedniemi gminami. Rzecz podobno już ułożona, powiadają nawet, że jeszcze w czasie obecnej sesyi poweźmie sejm odpowiedni wniosek.

Nie brak jednak i przeciwników projektu, a tymi są rozmiaci „wielkoświatowi" politycy podgórscy, sądzę jednak, że skoro taki wróg Wielkiego Krakowa, jak marszałek Czecz zmienił swe przekonania i dobrowolnie zgodził się na przyłączenie swego Płaszowa do rozszerzonego Krakusowego grodu i na owych mężów zstąpi Duch święty i rozjaśni ich umysły, że i Podgórze i Kraków wyjdą na tem bardzo dobrze. Wprawdzie Podgórze korzystało dotąd za darmo z sąsiedztwa z Krakowem, a teraz musiałoby się zrzec swej pewnej samodzielności jako osobna gmina, dla ogólnego dobra należy jednak gotowym być do poświęceń.

Skoro projekt ten dojdzie do urzeczywistnienia, Kraków będzie wielkiem miastem w całem tego słowa znaczeniu, a będzie to miał do zawdzięczenia obecnemu swemu zarządowi, który nie żałował trudów i zabiegów, aby wielkie dzieło doprowadzić do skutku. Przeciwnicy polityczni kiwają znacząco głowami, że to właśnie prezydent Leo, a nie oni pokierowali sprawę na te tory, przyznać jednak muszą w duchu, że właśnie on, a nie kto inny jest właściwym ojcem wielkiego Krakowa, takiego, jakim go dziś mamy. Prawda, że przyjdzie jeszcze nieraz dość natrapić się i nakłopotać, nim cała ta maszyna funkcyonować będzie należycie, nie brak bowiem nigdy malkontentów, którzy będą na każdym kroku robić trudności, choć może wbrew swemu wewnętrznemu przekonaniu, ale jedynie dlatego, że dzieło kto inny, nie oni, doprowadził do skutku. Z tem się liczyć należy i być na to przygotowanym. Najlepsza i najpraktyczniejsza rzecz znajdzie zawsze krytyków, którzy nie pozostawią na niej suchej nitki.

Nie powinno to jednak zrażać ani prezydenta Lea, ani jego współpracowników, choć przychodzi im zbyt często pokonywać trudności. Jak dotąd, wywiązywali się z tego ku zupełnemu zadowoleniu współobywateli i nadal zapewne także nie zabraknie im zapału do pracy dla dobra miasta, a najpiękniejszą za to nagrodą będzie uznanie ogółu, na jakie sobie bezsprzecznie zasłużyli. Nawet wrogowie polityczni, którzy prezydentowi nie mogą darować, że jakoś nieswojsko było mu w ich szeregach, które też opuścił, muszą mu przyznać, że jest po prostu genialnym administratorem i posiada dość energii, by przeprowadzić każde swe przedsięwzięcie.

A w Krakowie przychodzi to nieraz z trudnością, żyje bowiem między ojcami miasta do dnia dzisiejszego ów nieszczęsny duch, nazwijmy go konserwatywnym, choć właściwie jest on małomiasteczkowo-zacofanym, który sprzeciwia się z zasady wszelkiemu postępowi, wychodząc z założenia, że skoro nie znali czegoś dziadkowie i ojcowie nasi i my bez tego obejść się powinniśmy. W takich warunkach mając do walczenia z takiem zacofaniem, a co ważniejsza z sobkostwem wielu jednostek, które zapoznają najszlachetniejsze usiłowania, o ile im samym nie przynoszą korzyści, walczyć muszą propagatorowie idei „wielkiego Krakowa", przyznać jednak należy, że wychodzą z tej walki zwycięsko.

To też grono obywateli trzeźwo myślących, nie ograniczając się na uczczeniu prezydenta Lea przez utworzenie fundacyi stypendyjnej, upamiętniającej przyłączenie sąsiednich gmin do Krakowa, ani też nie czekając, aż potomność uzna jego zasługi i poświęcenia, postanowiło dążyć do tego, by jedną z ulic, w przyłączonych do miasta gminach, nazwać jego imieniem. Na którą z nich padł wybór, to jeszcze tajemnica inicyatorów, zawczasu jednak przestrzedz należy, by nie zaproponowano jakiejś bocznej, nie mającej przed sobą przyszłości. Jedyną, mojem przynajmniej zdaniem, nadającą się ku temu ulicą, jest dzisiejsza Nowowiejska, prowadząca od Parku Krakowskiego ku szkole kadeckiej w Łobzowie. Wobec tego, że już dziś ruch budowlany na niej się rozpoczął, a na przyszły rok projektowanych jest także kilkanaście budowli i zakładów przemysłowych, spodziewać się należy, że w krótkim już czasie stanie się ona jedną z najpiękniejszych, arteryi komunikacyjnych i godnie odpowie przeznaczeniu.

Wracając jednak do biedy, która nas ujęła w swe serdeczne objęcia i absolutnie nie ma ochoty wypuścić, to mamy nadzieję, że z czasem będzie jeszcze gorzej, budżet krajowy zamyka się bowiem znowu deficytem, co pociągnie za sobą podwyższenie dodatków krajowych do bezpośrednich podatków. Deficyt jest dla nas rzeczą bardzo zwykłą, z przyzwyczajenia jednak, zaraz po dowiedzeniu się o nim, narzekamy nań przez dni kilka, a następnie przechodzimy do porządku dziennego, jako nad rzeczą, bez której żaden budżet austryacki absolutnie obejść się nie może.

Posłowie radzą w pocie czoła już od dwudziestego drugiego września i przyszli do przekonania, że reforma wyborcza do sejmu nie jest wcale nagłą i może zupełnie spokojnie poczekać sobie, dopóki inne sprawy nie zostaną załatwione. Poseł Lewicki postawił wniosek o polecenie komisyi reformy wyborczej, aby w przeciągu trzech tygodni przedłożyła sejmowi gotowy projekt reformy z podaniem podziału okręgów na polskie i ruskie. Mowca zaznaczył, że błędnem jest przypuszczenie, iż masy ludu są rozczarowane wynikiem powszechnego głosowania do parlamentu, przeciwnie spostrzegają one znaczny postęp w czynności Rady państwa. Być może, że odnosić się to ma do posłów ruskich, którzy żyją w ciągłym kontakcie ze swymi wyborcami (dowodem tego branie przez nich udziału w różnych borbach ukraińskich), nasi natomiast otaczają się jakimś nimbem świętości i boją się pokazywać wyborcom, aby przypadkiem jasność z ich lic bijąca, nie oślepiła maluczkich.

Przewodniczący komisyi reformy wyborczej, dr. Głąbiński, odpowiedział interpelantowi, że uznaje i on i przedstawiciele innych stronnictw doniosłość i pilność sprawy i będzie dążył, aby reformę wyborczą sejmową załatwić jak najprędzej, możliwie jeszcze w obecnej sesyi, zależy to jednak od wiatru, jaki powieje od strony Wiednia, a dziś kierunku jego na pewne jeszcze oznaczyć nie możemy. Nagłość wniosku Lewickiego odrzucono, co dało sposobność panom Staruchowi i Petruszewiczowi do dramatycznego występu, który jednak wypadł zupełnie blado.

Wśród innych spraw, nad któremi sejm ma w czasie obecnej sesyi obradować, znajduje się i nieśmiertelna sprawa kanałowa. O niej mówi się i pisze od lat dziesięciu, na porządek dzienny weszła zaś właściwie od roku, to jest od chwili, gdy Wiedeń oświadczył się przeciwko budowie, motywując swe postanowienie brakiem funduszów, nierentowności i innemi podobnemi okolicznościami. Koło polskie uchwaliło natomiast postawić na swojem i domagać się stanowczo budowy, rząd jednak uważa za najodpowiedniejsze przeznaczenie dla każdego kraju interesowanego pewnej sumy na cele gospodarcze, z czego na Galicyę, jak już zresztą wspominałem, przypadłoby sto dwadzieścia milionów, z których lwią część zastrzegli już Rusini dla siebie.

Zaczynają jednak przebąkiwać tu i ówdzie, że objawem dla kanałów bardzo złowróżbnym jest porozumienie się Niemców z Czechami i dość wyraźna chęć Czechów wstąpienia do większości w parlamencie. Niektórzy politycy polscy obawiają się, aby kosztów ugody niemiecko-czeskiej nie zapłaciła Galicya, co się zresztą u nas dość często zdarza.

Z tej przyczyny zajmowało się sprawą kanałową i Koło sejmowe we Lwowie. Poseł Głąbiński, jako prezes Koła polskiego zdał sprawę z obecnej sytuacyi politycznej, a najdłużej zatrzymał się na kanałach, przebieg posiedzenia uważano jednak za ściśle poufny, wobec czego będziemy się mogli szczegółów dowiedzieć dopiero z pism wiedeńskich, które zazwyczaj w sprawach Galicyę obchodzących lepiej są poinformowane, niż wszystkie nasze organa prasy, wobec których nasi posłowie zasłaniają się poufnością, a tej wobec niemieckich sprawozdawców nie znają.

Chociaż więc o kanały toczy się tak zawzięta walka, kto wie, czy zda się na co. Podobnie jak ich imiennicy na Marsie, pozostaną one i nadal jedynie złudzeniem optycznem, a obiecane odszkodowanie, nie wyjdzie wcale z fazy cukierków, które pokazuje się Galicyi z daleka i cieszy się, gdy ona oblizuje się ze smakiem i przedwcześnie łyka ślinę.

Bardzo mnie zasmuciła wiadomość, że sejm nie będzie się wcale zastanawiał nad sprawą wykiwania wielkiego Krakowa przez spółkę przedsiębiorców, którzy wydzierżawili boisko pozlotowe na Błoniach i urządzają na niem, raczej mieli zamiar urządzać, zapasy światowych siłaczy. Punktem kulminacyjnym miał być występ Cyganiewicza jednego i tego samego dnia i o tej samej godzinie równocześnie w Wiedniu i Krakowie, niestety, z przyczyn od Dyrekcyi niezależnych uległ o tyle zmianie, że Cyganiewicz wyjechał osobiście do Wiednia, a do Krakowa przysłał tylko telegram.

X.

Humbug „sportowy".

Zapowiedziane na ubiegłą sobotę i niedzielę zapasy międzynarodowych atletów nie powiodły się. Zawiódł jednego dnia Zbyszko-Cyganiewicz, zawiódł zupełnie dr. Roller i inni pierwszorzędni zapaśnicy, stawili się zaś tylko czterej atleci *minorum gentium*, których występ nie mógł zupełnie zainteresować publiczności krakowskiej. Szczęście jeszcze, że ta publiczność, jak gdyby przeczuwając fiasco, stawiła się w oba dni bardzo nielicznie na trybunach, otaczających boisko pozlotowe, gdzie owe sławne zapasy o „mistrzowstwo" odbyć się miały.

Zbyszko-Cyganiewicz, do niedawna ulubieniec publiczności krakowskiej, wystąpił wprawdzie na arenę w sobotę i zaprodukował walkę w amerykańskim stylu „catch as catch can", ale mając przeciwnika bardzo marnego, trzeciorzędnego atletę wiedeńskiego Solara, który w Krakowie występuje pod imieniem szampiona holenderskiego Van der Rottena, załatwił się z nim w dwukrotnem spotkaniu w przeciągu niespełna minuty, tak że publiczność nie mogła właściwie nabrać należytego pojęcia o charakterze walki amerykańskiej.

Drugiego dnia zaś Zbyszko wogóle się nie pojawił, tłómacząc się tem, że musiał na ten dzień pojechać do Wiednia i stoczyć walkę z dr. Rollerem, gdyż podobno zagrożono mu, że gdyby się tam nie stawił, zostanie ogłoszony za zwyciężonego.

Argument ten, oczywista rzecz, nie wytrzymuje żadnej krytyki i nie usprawiedliwia ani jego ani przedsiębiorców krakowskich. Bo jeśli Cyganiewicz zawarł dawniej umowę co do występu w Wiedniu, to nie powinien był na ten sam dzień zapowiadać walki w Krakowie i na odwrót.

Nieobecnego Cyganiewicza zastąpić miał serbski atleta Antonicz, który w spotkaniu z owym rzekomym Van der Rottenem zastosował również system „catch as catch can". Ponieważ jednak żaden z nich nie ma właściwie pojęcia o systemie amerykańskiej walki, więc widowisko przedstawiało obraz wprost humorystyczny.

Publiczność, choć bardzo nielicznie zebrana, dała głośno wyraz swemu oburzeniu z powodu nie dotrzymania ze strony aranżerów widowiska przyrzeczeń i zapowiedzi, głoszonych na afiszach i w anonsach w dziennikach. Tak niefortunnem zainaugurowaniem zapasów przynieśli zresztą przedsiębiorcy największą szkodę samym sobie, gdyż zdyskredytowali się gruntownie w opinii publiczności krakowskiej.



Humbug „sportowy": Zbyszko-Cyganiewicz i Solar z Wiednia, występujący jako Van der Rotten, na boisku pozlotowem w Krakowie.

Święto „Sokoła" bytomskiego.

Niesłychanie jest ciężkie i trudne położenie towarzystw sokolich pod zaborem pruskim. Konstytucya pozwala im wprawdzie istnieć, ale równocześnie rząd hakatystyczny tak je szykanuje, tak utrudnia pracę, że tylko nadzwyczajnemu hartowi ducha i prawdziwemu patryotyzmowi społeczeństwa polskiego w Poznańskiem i na Śląsku pruskim zawdzięczać można, iż piękna idea sokola dotąd nie upadła tam, że przeciwnie krzewi się dalej i groma-



Święto „Sokoła" bytomskiego: Sokoli z Bytomia ze swym nowym sztandarem. Fot. E. Pierzchalski, Kraków.

dzi pod sztandarem sokolim coraz liczniejsze zastępy.

Pamiętamy jeszcze do dziś żywo, jak potężne wrażenie wywarły w Krakowie dziarskie zastępy sokolstwa polskiego z pod zaboru pruskiego, zjawi-



Nowi kierownicy seminaryów duchownych: Ks. Gall, nowy regens seminaryum duchownego w Warszawie.

wszy się gromadnie na uroczystościach grunwaldzkich oraz uczestnicząc w ogólnym zlocie Sokolstwa polskiego. Słusznie też całe społeczeństwo witało braci naszych z pod Prusaka z taką wielką serdecznością, tak owacyjnie oklaskiwało ich szeregi w wielkim pochodzie na Wawel. Pamiętamy to wszystko dotąd, bo były to bodaj najpiękniejsze, najpodnioślejsze chwile w dniach grunwaldzkich.

W ubiegłą niedzielę jedno z gniazd w zaborze pruskim, mianowicie gniazdo w Bytomiu na Śląsku, święciło wielką uroczystość sokolą, poświęcenie własnego sztandaru, a święciło ją nie u siebie, w obawie, by hakatyści uie zepsuli jaką prowokacyą nastroju, lecz w Galicyi, w Czernej i Krzeszowicach.



Święto „Sokoła" bytomskiego: Banderya Krakusów w Krzeszowicach, w czasie uroczystości sokolich.

Uroczystość ta wypadła wspaniale i pozostanie na długo w pamięci uczestników. Prócz Sokołów bytomskich, stawili się umundurowani Sokoli z Krzeszowic, Krakowa, Podgórza i innych pobliskich miejscowości.

Poświęcenie nowego sztandaru odbyło się w pięknej miejscowości pod Krzeszowicami, w Czernej, a dokonał uroczystego aktu O. Janicki z Krakowa. Po poświęceniu sztandaru przemówił z trybuny do otaczających go tłumów Sokolstwa i publiczności, podnosząc dzielną, energiczną pracę naszych braci, którzy mimo ucisku i prześladowań, pamiętają o obowiązkach wobec Ojczyzny. Następnie dokonano tradycyjnej ceremonii wbicia gwoździ w drzewce sztandaru.

Dalszy ciąg uroczystości odbył się w Krzeszowicach, w parku tamtejszym mianowicie urządzono festyn w połączeniu z ćwiczeniami gimnastycznemi. Po nadzwyczaj udatnych ćwiczeniach urządzono rodakom z pod zaboru wspaniałą owacyą, wyniesiono mianowicie ćwiczących sokołów na ramionach, wśród okrzyków i oklasków publiczności.

Do podniesienia nastroju całego obchodu przyczyniła się obecność włościaństwa okolicznego, które wystąpiło w barwnych, pięknych strojach krakowskich. Piękny też widok tworzyła liczna banderya konna, która wzięła udział w obchodzie w Czernej i Krzeszowicach.

Banderyę tę przedstawia jedno ze zdjęć, umieszczonych w dzisiejszym numerze, druga zaś przed-



Fot. E. Pierzchalski, Kraków.

Rękodzielnicza młodzież tarnowska w Krakowie: Członkowie „Czytelni młodzieży rękodzielniczej" z Tarnowa pod pomnikiem grunwaldzkim w Krakowie.



Nowi kierownicy seminaryów duchownych: Ks. Gautier, nowy wiceregens seminaryum duchownego w Warszawie.

stawia grupę Sokołów z Bytomia oraz z Krzeszowic i Krakowa, z nowym pięknym sztandarem w pośrodku.

Nowi kierownicy seminaryów duchownych.

Z nowym rokiem szkolnym zaszły w akademii duchownej w Petersburgu i w seminaryum duchownem w Warszawie liczne zmiany na naczelnych stanowiskach.



Nowi kierownicy seminaryów duchownych: Ks. kanonik Kakowski, nowy rektor akademii duchownej w Petersburgu.

I tak rektorem akademii w Petersburgu mianowany został ks. kanonik Kakowski, znany z swych prac naukowych w dziedzinie teologii. Powołanie ks. kanonika Kakowskiego na rektora do Petersburga przyjęto z ogólnem zadowoleniem.

W Warszawie został regensem seminaryum duchownego ks. Gall, wiceregensem zaś ks. Gautier.

Portrety nowych kierowników obu instytutów zamieszczamy w dzisiejszym numerze

Rękodzielnicza młodzież tarnowska w Krakowie.

„Czytelnia młodzieży rękodzielniczej“ w Tarnowie, grupująca w swem gronie liczny zastęp tarnowskiej młodzieży rzemieślniczej, urządziła w ubiegłym tygodniu wycieczkę do Krakowa celem zaznajomienia swych członków z najpiękniejszymi zabytkami naszej przeszłości narodowej, zabytkami, tak licznie w Krakowie nagromadzonymi.

Wycieczka powiodła się doskonale, a uczestnicy jej powrócili do domu, pełni pięknych, podniosłych wrażeń.

Z półek księgarskich.

Praktyczny podręcznik dla ślusarzy dla niższych szkół zawodowych i dla ogółu pracowników przemysłu żelaznego **O żelazie, stali i prawidłowem hartowaniu narzędzi** w II. częściach z licznemi rycinami ułożył **Jerzy Tyrowicz** nauczyciel zawodowy przy c. k. szkole dla ślusarstwa maszynowego w Tarnopolu. Lwów 1910. Wydano nakładem fundacyi hr. Skarbka.

Podręcznik wydany przez byłego wychowanka Zakładu Drohowyskiego, a poświęcony pamięci szlachetnego Fundatora ś. p. hr. Stanisława Skarbka. ma upamiętnić chwilę opuszczenia Zakładu przez tysiącznego wychowanka, co miało miejsce w r. 1909.

Treściwie zestawiony tekst, objaśniony dwudziestu kilku rycinami, dzieli się na dwie części W pierwszej pomieszczone są wiadomości dotyczące pochodzenia i wytwarzania różnych rodzajów żalaza i stali, jako materyałów surowych, w drugiej opisy najnowszych przyryądów, oraz sposoby praktyczne odnoszące się do prawidłowego hartowania stali.

Praca pana Tyrowicza wypełni lukę, jaka bardzo dawała się odczuwać naszym rękodzielnikom i pomnoży tak niestety szczupłą naszą literaturę techniczną.

John Foster Fraser **Jak Ameryka pracuje,** tłómaczył Z. Przemyśl 1910. Księgarnia A. Juszyńskiego.

Ponieważ w dzisiejszej walce ekonomicznej nie wystarczają wysiłki kilku jednostek, tylko trzeba nieutrudzonej woli i ustawicznej pracy całego społeczeństwa. przez przetłómaczenie angielskiego dzieła **America at Work** chce nas tłómacz zapoznać z ową nieutrudzoną gorliwością, dzięki której Ameryka zdobyła sobie pierwsze miejsce w handlu światowym.

Wydanie staranne, ozdobione licznemi illustracyami.

Kalendarz Maryański na r. 1911. Nakładem Karola Miarki w Mikołowie (Górny Śląsk). Cena 50 fenigów.

Wydawnictwa Karola Miarki cieszą się zasłużoną sławą. W rzędzie ich **Kalendarz Maryański** zajmuje jedno z najpoczetniejszych miejsc, stanowiąc dla naszego ludu nader pouczającą i zajmującą lekturę. Na treść jego składają się nader interesujące artykuły, ozdobione pięknemi illustracyami, z których kilka wykonanych jest w kolorach. **Kalendarz Maryański** zasługuje na jak najszersze rozpowszechnienie.

„Promyk“. Wyszedł Nr. 37. „Promyka“ tygodnika ilustrowanego młodzieży. Pismo to istniejące od dwóch lat rozwija się coraz lepiej. Daje powieści doborowe, artykuły naukowe, obrazki i poezye wybitnych i utalentowanych autorów.

Bieżący numer zawiera; „Zwierzęta w niewoli“ Hagenbecka, „Dyabelski statek“ powieść przerobiona z „Pracowników morza“ W. Hugo przez St. Burczewską. „O królewiczu i o Jasku“ wiersz M. Markowskiej. „Nasza klasa“ powieść M. Hantowerównej. „Wieczór letni“ wiersz Heleny Bejarskiej. Ze świata, łamigłówki, rozwiązania.

„Promyczek“ baśń Domosławy. **„Mała Czarodziejka“** Hakelbeilówny. „Zając i lis“ bajeczka z niemieckiego. Wesołe szarada, łamigłówki i rozwiązania zamykają ten numer.

Głosy publiczne.

Darmo otrzyma każdy na żądanie bogato ilustrowany katalog główny z przeszło 3000 rycinami firmy **Hanns Konrad,** dom wysyłkowy w Brüx Nr. 3580 (Czechy). Katalog zawiera wielki wybór artykułów użytkowych i podarunków każdego rodzaju, w którym każdy coś odpowiedniego znajdzie.

Życie bakteryi jest bardzo długie. Po zbadaniu jednego grama suchej ziemi z herbaryum, które pochodzi z pierwszej połowy przeszłego wieku, znaleziono tam 20.000 żyjących bakcyli. A. Nestler wystawił grudkę ziemi z przed 23 lat na ciepłotę od 120—150° Celsiusa i pomimo tego nie mógł zniszczyć bakcyli, które w niej się znajdowały. Jasnem jest tedy, że takie odporne żywioły należą do niebezpiecznych wrogów zdrowia ludzkiego. Tylko czystość może nas od nich uchronić. Głównem siedliskiem bakteryi są zęby i jama ustna człowieka. Dr. Miller sprawdził, że w 136 wypadkach septycznej infekcyi całego ciała ludzkiego nastąpiło 64 śmiertelnych wypadków wskutek chorych zębów.

Tylko regularne czyszczenie zębów i ust, antyseptycznie działającemi środkami, jak n. p. Sarga KALODONT KREM i woda do ust, chronią nas od wielu chorób.

(Z dobrego najlepsze) zapewne każdy wybierze z nadejściem zimowego sezonu i zaopatrzy swoje potrzeby w berneńskie sukna, których to na tamtejszym placu wypróbowane, w najlepszej jakości, u najrzetelniejszej firmy **Etzler & Dostal** najlepiej i najtaniej otrzymać można.

Za rzetelnością wyżej wspomnianego przedsiębiorstwa przemawia okoliczność, że jest dostawczynią związku nauczycielskiego, urzędników państwowych — i Stowarzyszenia związku domów nauczycielskich, jakoteż większych stowarzyszeń i obszarów dworskich. Niezliczone listy uznania potwierdzają zadowalniającą obsługę. Każdy może wprost z firmy materye sprowadzić, albowiem nawet w najmniejszych kawałkach dostarczamy, a w bogato zaopatrzonych kolekcyach są wszelkie ceny podane.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 38.

Zagadka przysłowiowa: Trafiła kosa na kamień.
Szarada: Pieśni słowicze.
Zagadka literacka: Paderewski.
Łamigłówka: Portugalia.
Łamigłówka: Stefan Żeromski.
Rebus: Ulice miasta oświecamy latarniami, pola i dąbrowy oświecają księżyc i gwiazdy.

Dobre rozwiązania nadesłali: R. Szymański Podgórze, H. Reim Lisko, K. Torczyński Rozwadów, T. Nikiel Zakopane, K. Słowik Tarnopol, W. Potocka Kraków, A. Lech Kraków, W. Lipowska Zakopane, B. Gramski Nowy Sącz, J. Gawor Tarnów, H. Barnat Rzeszów, J. Stankiewicz Sambor. S. Osuchowski Jasło, H. Krużel Kraków, J Przeworski Lwów, M. Misiewicz Jasło, H. Kinalski Rozwadów, K. Radoszewski Bochnia, J. Scholz Nisko, C. Wang Tarnobrzeg, J. Engelberg Rzeszów, Klappolz Kraków, M. Rosenbaum Tarnów, M. Krawecki Bochnia, J. Jahoda Cieszyn, H. Piątek Podwołoczyska, J. Bartmański Brody, K. Szczepański Wiedeń, M. Szychowska Petersburg, W. Knapik Kielce, M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, J. Barański Lwów, F. Łopatkiewicz Jasło, S. Kaczyński Sanok, H. Cisowski Warszawa, J. Obst Warszawa, H. Gawlikowski Kraków, J. Radomski Sandomierz, W. Ostrowski Warszawa, J. Grünfeld Lwów, S. Krasowski Kraków, J. Lichański Lwów, M. Kozłowski Kraków, S. Rybicka Petersburg, S Świrski Radomyśl, W. Thun Płock, J. Łukawiecki Czerniowce, K. Balicka Stanisławów, J. Sitnikiewicz Lwów, W. Ossowski Warszawa, A. Biliński Warszawa, J. Bziak Tarnów. J. Lisowski Sanok, J. Zachara Krosno, H. Wyka Kraków, M. Gryziecka Przemyśl, J. Nowacki Sandomierz, H. Kwaśniewski Staszów, W. Bandrowski Wilno, M. Gromnicka Kraków, H. Baranowski Piotrków, S. Ost Warszawa. H. Pick Łódź, H. Kopczyńska Bierzanów, M. Golska Janów, J. Jasiński Sambor. K. Brzostowski Krosno, W. Gramatyka Częstochowa, A. Gralewska Kraków, A. Trzeciak Kraków, A. Pankowski Podgórze, S. Krzyżanowski Kraków, H. Wilecki Mińsk, H. Borkowska Kraków, J. Ścieżka Sambor, K. Królikowski Kraków, S. Karczmarski Tarnów, J. Ackerman Podgórze, M. Strek Lwów, J. Janik Dębica, R. Woś Rzeszów, K. Kaim Kraków, S. Kowalówka Kraków, W. Kowalówka Kraków, H. Zegartowska, Łososina Górna. K. Zegartowski Bogucice, J. Jaworski Kraków, E. Bogdalska Moropuż, K. Fuchs Czeremchów, K. Turecka Tarnopol, Kółko dramatyczne Skała, M. Malinowska, Oświęcim, J. Krawczyk Kraków, M. Arbesbauer, Lwów, S. Faliszewski, Baligród, A. Bocsoń, Bóbrka, J. Badura, Roździeń.



Zakonnica doktorem filozofii: Matka Cecylia Łubieńska.

Nagrodę przez losowanie otrzymał **K. Kaim, Kraków.**
Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Kącik humorystyczny.

Z zadania pensyonarki.

Kraków jest ważną węzłową stacyą kolejową. Można stąd udać się bezpośrednio we wszystkie strony świata, gdyż istnieje bezpośrednie połączenie z Oświęcimiem, Tarnowem, Skawiną i Kocmyrzowem!

Także los!

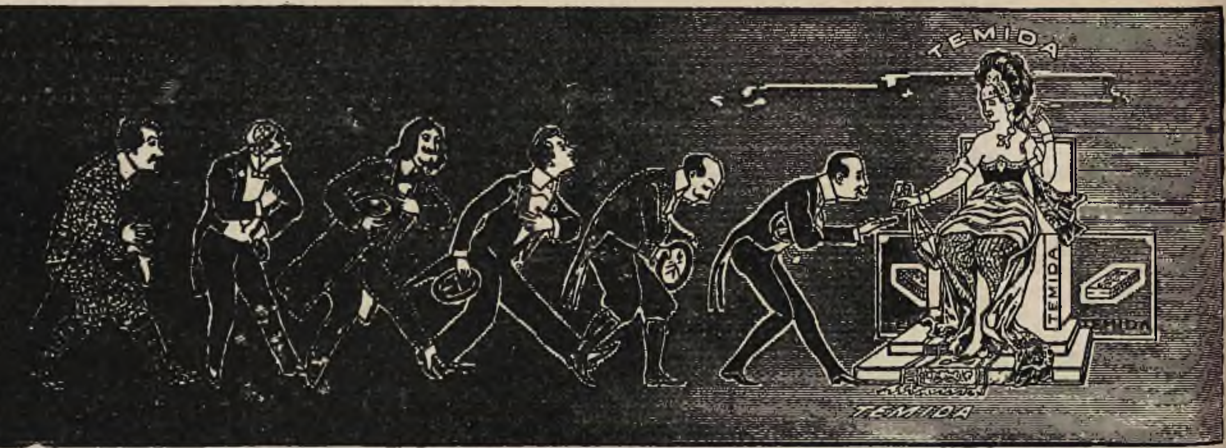
— Gdym ciągle wygrywał w bezika, mówili moi przyjaciele, że głupi ma zawsze szczęście, gdy teraz z reguły przegrywam, powiadają, że jestem osłem, który nie ma pojęcia o grze!

Przy egzaminie prawniczym.

Profesor: Proszę mi powiedzieć, jaka jest najwyższa kara za dwużeństwo?
Kandydat: Dwie teściowe, panie profesorze!
Profesor: Masz pan racyę! ja mam jedną, a i tak mi się już dała we znaki!



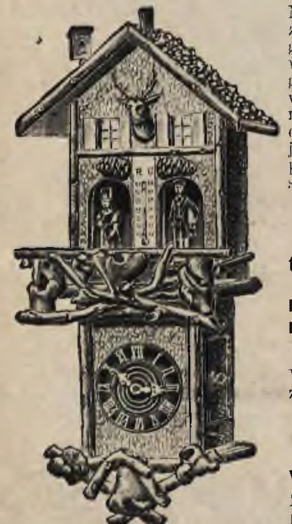
NOWOŚĆ!!!
W TUTKACH CYGARETOWYCH POD NAZWĄ
„TEMIDA“
poleca znana ze swych wyrobów fabryka
RUDOLFA HERLICZKI
W KRAKOWIE.



Tutki do papierosów
Bibułki do papierosów

ABADIE
PARYŻ.

Domek wskazujący zmianę powietrza wraz z zegarem.



Nr. 4651. Wzkazuje każdą zmianę powietrza na 24–48 godzin naprzód, dokładnie według podanego wzoru. Zegar z pozłacaną metalową wskazówką, za który pisemnie ręczę, że przez 3 lata dobrze pójdzie. — Zegar ten, jest piękną ozdobą w każdym pokoju 34 cm. wysoki. 17 cm. szeroki, cały kosztuje **tylko**

K 7·80.

Nr. 4651½, Takisam tylko pojedynczej wykonany za K 6·70.

Domki wskazujące zmiany powietrza bez zegara po K –·95, 1·80, 2·50, 3·60 i wyżej.

Bez ryzyka!

Wymiana dozwolona, albo zwrot pieniędzy. Wysyła za zaliczką c. i k. nadw. dost.

Hanns Konrad
Dom wysyłkowy
W BRÜX Nr. 3597 (Czechy)

Katalog gl. z przeszło 3000 rycinami wysyłam każdemu darmo opłatnie.

Strzelby do polowania

doskonale obstrzelane, najlepszej jakości dostarcza

c. i k. dostawca dworu



HANNS KONRAD Brüx Nr. 3616 (Czechy)

Dubeltówka Lancaster z lufami stalowemi i łożyskiem o srebrnych prążkach, garnitur z okrągłą oprawą, boki i rączka pistoletowe 16 kalibrowy K. 38·–, 48·–, 55·—, 62·—, 75·— i wyżej. Dubeltówka Hammerles, nowy model, potrójny zamek Greenera, z zabezpieczeniem K. 112·–. Bardzo wielki wybór strzelb do polowania i rewolwerów znajduje się w moim katalogu głównym, zawierającym przeszło 3000 rycin, który wysyłam każdemu na żądanie darmo i opłatnie.



Tylko wprost

z naszej fabryki wysyłane

materye na ubrania

MĘSKIE i DAMSKIE

najlepszej jakości kupują prywatni po najniższych cenach fabrycznych.

Odcina się każdą ilość!
Resztki za bezcen!
Zażądać próbek!

Pierwsza śląska fabryczna wysyłka sukna **„Sudetia“**
Karniów (Jägerndorf) N. **160**
Śląsk austr.

Przeglądnij Pan!

przed zakupnem towarów użytkowych i podarków wszelkiego rodzaju mój bogato illustrowany główny katalog z przeszło 3000 rycinami który na żądanie każdemu darmo i opłatnie wysyłam.

C. i k. dostawca dworu
HANNS KONRAD
w Brüx Nr. 3626.
(Czechy).

Pieniądze zaoszczędzi

każdy, kto przy zapotrzebowaniu przedmiotów do użytku i różnych poparków zażąda mego bogato ilustrowanego katalogu głównego z przeszło 3000 rycinami, który **każdemu** na żądanie **darmo i opłatnie wysyła.**

C. i k. dostawca dworu
HANNS KONRAD Brüx
Brüx Nr. 3625 (Czechy).

Precz z towarem obcym!

Każdy w łatwy sposób może sobie sporządzić **najlepszy likier** w różnych odmianach.

PROSZEK DO PIECZYWA.

Vanilina z cukrem (niezbędna przyprawa do pieczywa).
Salaretka owocowa w proszku o rozmaitych smakach.

Wszędzie do nabycia.

„Vitellio“ I-sza Galicyjska Fabryka olejków eterycznych i esencyi owocowych
Lwów, Na Błonie L. 10.

M Y

I-a Jamaika essencya rumowa.

Bez mozołu może każdy zrobić **5 litrów I-a rumu** za **K 1·20**. Z jednej litr. flaszki I-a essencyi likierowej otrzyma każdy 3 l. flaszki likieru jak: **krem allaszowy, chartreux, altvater,** za K 1·20. 3 fl. tylko K 3·– dostarcza, pojedyncze tylko za poprzedniem nadesłan. należytości, od 3 flaszek począwszy za zaliczką, z dokładnym opisem sposobu użycia opłatnie do każdej stacyi pocztowej.

Hischmanna wyrób essencyi
w Humpolcu 64.

Tysiący listów uznania.

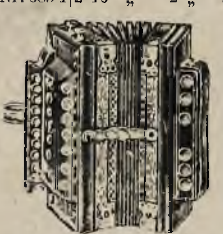
Dobre harmonijki kor. 4·80

Przeszło 100.000 sztuk sprzedanych.

Nie płaci się cła! **Bez ryzyka!**

Wymiana dozwolona lub zwrot pieniędzy.

Nr. 300	3/4	10 klaw.,	2 rej.	na 28 głosów	wielk. 24×12 cm.	K 4·80
Nr. 657	1/4	10 „	1 „	„ 28 „	„ 30×15 „	„ 5·20
Nr. 305	3/4	10 „	2 „	„ 50 „	„ 24×12 „	„ 6·20
Nr. 663	1/4	10 „	2 „	„ 50 „	„ 31×15 „	„ 8·—
Nr. 685	1/2	10 „	2 „	„ 50 „	„ 28×16 „	„ 9·—



Samouczek do każdej harmonii darmo.

Wysyła za zaliczką
C. i K. NADWORNY DOSTAWCA

Hanns Konrad

Dom wysyłk. instrument. muzycznych **w Brüx Nr. 3588** Czechy.

Główny katalog z 3000 rycin. na życzenie wysyłamy darmo i opłatnie.



Berneńskie materye

na ubrania męskie po najtańszych cenach fabrycznych kupuje się najlepiej u

Etzler & Dostal, Berno 53.

Dostawcy związku nauczycielskiego i związku urzędników państwowych.

Pobierając towar wprost z fabryki, zaoszczędzi prywatny wiele pieniędzy. Tylko świeży, modny towar **od 3 kor.** za metr i wyżej.

Nawet w najmniejszych kawałkach dostarczamy.

Bogato zaopatrzone kolekcye wzorów, wolne od opłaty do przeglądnięcia.



SZUKACIE

dobrego i niezawodnego źródła artykułów gospodarczych i na podarki, to zażądajcie natychmiast kartką korespondencyjną bogato ilustrowanego **katologu głównego** z 3000 rycinami

od c. i k. nadwornego dostawcy
HANNS KONRAD, w Brüx
Nr. 3624 (Czechy).

Nasi rzemieślnicy.

Młody kupiec: Ach, ci nasi rzemieślnicy to są dopiero ospali! Ja już zgłosiłem konkurs a stolarz nie dostarczył mi jeszcze urządzenia sklepowego!

Igły, szpilki, nici, tasiemki

POLECA

Stefan Porębski, Rynek 32. B-C, Kraków.

Zamówienia odwrotnie. W niedzielę i święta zamknięte. Zamówienia odwrotnie.



Zdzisław Zdanowicz, Kraków

ulica Sławkowska L. 3. — Hotel Saski — Telefon 516.

Magazyn galanteryjny.
Skład bielizny, kapeluszy, obuwia i przyborów do podróży.



Zmiana lokalu!

Z ulicy Halickiej L. 10 przeniesioną jest
PIERWSZORZĘDNA PRACOWNIA SUKIEN DAMSKICH
Józefa Dadeja we Lwowie

na ul. Teatralną 7

Wykonuje wszelką konfekcyę według najnowszej mody z własnych krajowych i zagran. materyi. — **W sukniach damskich stosuję krój angielski. — Specyalista amazonek.**

Ceny możliwie jak najniższe.

Fryderyk Mauzens.

PARYSKIE GADY.

27

Gdy obydwie przyjaciółki wypłakały narazie wszystkie swe łzy, Ewa uścisnęła po raz ostatni swą przyjaciółkę i rzekła:

— Uciekam... Czuję, że ja tu zaraz zmięknę... Skończy się na tem, że wyciągniesz ode mnie jakie głupie przyrzeczenie... Ach, panie niebieski! Ładniebym się ubrała! I jutro opuściłabym jedyną, oddawna wyczekiwaną sposobność, jaka nigdy nie powraca, aby coraz bardziej grzęznąć w nędzy bez końca!... Do widzenia! Zjawię się u ciebie, gdy wszystko już będzie skończone!

I piękna prasowaczka pośpiesznie wyszła. Ludwika odprowadziła ją aż do bramy domu i długo patrzyła na nią, dopóki Ewa nie znikła w zmroku. Potem z głową opuszczoną na dół, wracała do swego pokoiku. W chwili, gdy dochodziła do ciemnego, wielkiego i wilgotnego podwórza, usłyszała, jak ktoś ją woła:

— Panno Ludwiko!

Był to ojciec Ladroule. Stróżka miała za męża zacnego człowieka, kolosa o potężnych ramionach, który dopiero wieczorem wracał z ślusarni do domu. Biedak ten wiedział już z doświadczenia, że krzyki ani razy nic nie pomogą, gdy, jak to się często zdarzało, żona jego przebierze miarę w kieliszku, będąc przytem łagodnego usposobienia, znosił ten dopust boży w cichości. On też wieczorami gasił gaz i zamiatał podwórza, schody i korytarze.

— Proszę! — odrzekła Ludwika, odwracając się. —

— Są dwa listy dla pani... Jeden już zastałem po przyjściu do domu... a drugi przed chwilą przyniesiono z poczty pneumatycznej...

— Bardzo dziękuję.

Ludwika wzięła do ręki oba listy i spojrzała na adresy. Zbladła odrazu i czem prędzej oddaliła się, by ukryć swe zmieszanie, na jednym bowiem z listów poznała pismo Piotra. Powróciwszy do swego pokoju, siadła koło małej lampki naftowej i drżącemi rękami rozpieczętowała list dawnego swego narzeczonego. Potem położyła go na stole. Nie śmiała go odczytać.

Otworzyła drugi list i szybko przebiegła go oczami.

— Och! — zdziwiła się.

Była to elukubracya Raula de Lagunana. Powróciła znowu do pisma, na którego widok serce jej przestawało bić. Naraz szybkim ruchem wyciągnęła z koperty arkusz papieru, rozłożyła go i swemi szeroko rozwartemi oczami objęła jednocześnie wszystkie napisane słowa. Potem mdlejąc prawie z radości, opadła bezsilnie na oparcie krzesła.

VXIII.

Gdy Piotr Cartelegue wyszedł z tej podrzędnej restauracyi, wymizerowany jegomość o podejrzanej minie zażądał znowu przyborów do pisania. Siedział on przy jednym ze stołów, znajdujących się wprost okna, wychodzącego na ulicę. Pijąc małymi łykami absynt, wzrok miał utkwiony na ulicę. Gdy zasiadł do pisania, pilnie i uważnie patrzył na papier, od czasu do czasu zaś rzucał spojrzenie ku bramie domu położonego naprzeciw. Ten niezwykły gość był jednym z ajentów, którzy mieli śledzić Ludwikę. Wstrętny zawód, jaki sobie obrał, widocznie nie wzbogacił go, twarz bowiem jego była chudą i wynędzniałą, jak u człowieka zmęczonego i wygłodzonego; ubranie jego swym krojem i materyałem wskazywało na swe tandetne pochodzenie. Na służbie był dwanaście godzin dziennie, strzegąc ciągle bramy domu pod liczbą 56 przy ulicy Laugier, lub też drepcząc bezustannie po ulicy za byłą nauczycielką. Miał do zredagowania dwa raporty, jeden, który Karol Turner otrzymywał o trzeciej godzinie po południu i drugi wieczorny o dziewiątej godzinie. Do każdego z tych raportów bywał dołączony jeszcze jeden, układany przez ajenta, mieszkającego przy pokoju Ludwiki. Ten drugi ajent miał sobie powierzone w nocy nie tylko śledzenie wewnętrzne, lecz i zewnętrzne. Drzemał on przy swoich półotwartych drzwiach, gotów nie tylko do podsłuchiwania tego, co się dzieje u młodej panny, lecz i do śledzenia jej, gdyby wychodziła. I każdy raport, który przychodził na ulicę Boissy-d'Anglas o dziewiątej rano, był jego dziełem.

Pierwszy z tych szpiegów był narazie zajęty opisaniem śledzenia Ludwiki w czasie, gdy odnosiła bieliznę do notaryuszowej. Pisał równem, pięknem pismem, cechującem urzędnika lub też nauczyciela.

Po skończeniu swego sprawozdania, wypił, nie śpiesząc się, absynt, a potem zażądał podania sobie obiadu. Śniadanie i obiad jadł zawsze tutaj przy tym samym stole, nie spuszczając nigdy z oka bramy domu. Właściciel restauracyi domyślił się łatwo, kim jest ten jego nowy gość, ponieważ jednak płacił za wszystko, nie czynił mu żadnych przykrości.

W kilka minut po ósmej ajent śpiesznie wstał od stołu. Ludwika ukazała się na chodniku. Młoda panna skręciła na lewo i poszła przed siebie. — W dziesięć minut potem wróciła do domu, a wynędzniały jegomość, który jej towarzyszył w przyzwoitej odległości, zajął znowu swe zwykłe miejsce w restauracyi. Kelner na znak gościa, przyniósł znowu papier, atrament i bibułę. Ajent musiał coś dopisać do swego raportu.

W pół godziny potem przed restauracyę zajechał młody chłopiec na rowerze, maszynę swą postawił przy drzwiach i wszedł do środka. Szpieg zapieczętował pośpiesznie swe sprawozdanie i podał je przybyłemu. Chłopiec schował je do kieszeni i wyszedł, nie mówiąc ani jednego słowa. Następnie przeszedł przez ulicę i znikł w bramie domu pod liczbą 56. Po pewnej chwili ukazał się znowu, siadł na rower i odjechał. O dziewiątej godzinie Euzebijusz Tetard otrzymywał z rąk chłopca dwie koperty zapieczętowane.

Służący nie interesował się tem wcale, co też mogło w nich być. Było mu to obojętnem. Użalał się tylko nad sobą, iż według rozkazu musi odnosić je za każdym razem naprzód do Panajona, a potem do Neuilly, gdzie na nie czekał Maksym Duret.

Herkules odbywał te kursy zawsze „na gumach“, poczem ukołysany łagodnem chwianiem się dorożki udawał się do swej stałej winiarni dla pokrzepienia sił. Mimo, iż każda taka wycieczka kończyła się przy kieliszku, z całej duszy jednak przeklinał tę regularną, tajemniczą korespondencyę.

Tego wieczoru Panajon był u Larue razem z Joem Smithem, Garriguem, de Baudricourtem i jeszcze kilkoma innemi wybitniejszemi osobistościami.

— Panowie pozwolą? — rzekł do swych towarzyszy, gdy służący podał mu na srebrnej tacy dwie koperty, przyniesione przez Tetarda.

W trzy minuty potem Herkules z raportami w kieszeni, opuszczał restauracyę i jechał do Neuilly.

— Ani minuty spokoju! — użalał się fałszywy Karol Turner, biorąc się znowu do jedzenia. — Jestem przepracowany!

— Okazuje się, że ten trust czekoladowy nie jest drobnostką — zauważył jeden z biesiadników.

— Gdyby to tylko on jeden był! — odrzekł złodziej. — Lecz ja prowadzę jeszcze dwanaście innych, nie mniej ważnych. Naprzykład obecnie wprowadzam w czyn jeszcze jeden trust, o którym będą szeroko pisali, a jest on już na dobrej drodze... Nie potrzebuję dodawać, że jest to daleko donioślejszy od czekoladowego... Powiem tylko, iż jest to trust radiowy!

— Radium!?

— Tak jest, panowie.

— Lecz na całym świecie jest go zaledwie kilka gramów! — zauważył markiz de Baudricourt.

— Ma za to niezmierną wartość! — odparł Panajon.

— To prawda! — przyznał Garrigue.

Dla Amerykanów niema rzeczy niemożliwej. Joe Smith uznał taki trust za zupełnie wykonalny i żałował nawet, że to nie jego pryncypał wpadł na taki pomysł.

— Przytem — ciągnął dalej mniemany Australczyk — jednem z głównych żądań trustu jest eksploatowanie wielkich kopalni blendy, z której dobywa się to dziwne i cenne ciało... Och! wiem dobrze, że nie możemy ważyć go na kilogramy... Nie zrujnują nas koszty, poniesione na przechowywanie go i na budowanie dla niego magazynów... A mimo to będziemy sprzedawali je za miliony...

— Wierzę w to zupełnie! — potwierdził Smith z przekonaniem.

Inni biesiadnicy patrzyli na Panajona z podziwem, zmieszanym z zachwytem.

— A spodziewam się — zakończył złodziej — że me nowe królestwo każe zapomnieć o dawnem, z którego, jak wyznam, nie jestem zbyt dumny... Obecnie nie będę królem czekoladowym, lecz królem radium!

— Brawo!... brawo!...

— Wspaniale!...

Markiz de Baudricourt odezwał się poważnym tonem.

— Piękny to tytuł, panie Turner, wzbudzi on w wielu zazdrość!

Zjawiła mu się odrazu myśl, by się wkręcić do rady zarządzającej tego niezwykłego przedsiębiorstwa.

Podano kawę... Panajon wypił swą filiżankę jednym łykiem i wstał.

— Proszę panów bardzo o wybaczenie — rzekł, lecz na razie nie mogę dłużej cieszyć się waszem towarzystwem...

— Jeszcze interesa?

— Jeszcze i ciągle!

— Jakto! O tej porze?

— Pan się zabija!

— Cóż robić! — odparł Panajon.

Uściskał serdecznie wyciągane do siebie pośpiesznie ręce i wyszedł. Samochód jego stał przed restauracyą. Złodziej, siadając, dał szoferowi adres, który tak go zadziwił, iż palacz prosił o powtórzenie go.

— Ach! dobrze! — odrzekł, przekonywując się, że się nie mylił.

Samochód wyjechał z ulicy Royal, przebył plac Zgody, minął most i podążył szybko na bulwar Saint-Germain. Po chwili skręcił na bulwar Saint-Michel i wkrótce zagłębił się na lewo w labiryncie małych uliczek starej łacińskiej dzielnicy. Zwalniał kilkakrotnie biegu i wreszcie zatrzymał się przed małą restauracyjką. Panajon wysiadł zaraz z samochodu i wszedł do zakładu. Było w nim jeszcze kilku późnych gości. Mieli dość dziwny wygląd. Każdy z nich miał na głowie czerwony fez. Restauracya ta była małym zakątkiem Turcyi w Paryżu. Wszystko tu było tureckie, kuchnia, właściciel, służba i goście. Każdy cudzoziemiec może być prawie pewnym, że w tem wielkiem kosmopolitycznem mieście znajdzie zawsze podrzędną knajpę lub zakład pierwszego rzędu, w którym jego rodacy mogą otrzymywać swe krajowe potrawy. Panajon znał wszystkie te restauracye, grecką, węgierską, bułgarską i inne. Najczęściej bywał w tureckiej, gdzie się schodzili dawni jego znajomi z Konstantynopola.

Rozejrzał się dokoła, zmarszczył brwi, nie widząc osoby, której szukał, potem podszedł do właściciela, który w tym eleganckim mężczyźnie o szarych faworytach nie poznał swego dawnego gościa.

— Gdzie jest Ahmed? — zapytał złodziej po turecku.

— Ahmed?...

— Pański kelner...

— Ach, on był moim kelnerem... Ale już nim nie jest... Okradał mnie... Wyrzuciłem go.

— A nie wie pan, co się z nim stało?

— Sprzedaje nugaty.

— Gdzie?

— Na bulwarze Saint-Michel... W ogrodzie Luksemburskim... W chwili tej musi się kręcić koło kawiarni na ulicy des Ecoles...

— Dziękuję bardzo.

Panajon siadł do samochodu i kazał się zawieźć na róg ulicy des Ecoles i bulwaru. Właściciel tureckiej restauracyi nie mylił się. Tam się istotnie znajdował jego były kelner. Ahmed na wielkiem ciele, tak szerokiem, jak i wysokiem, nosił malutką główkę o bladej, żółtej napuchniętej twarzy. Był on przystrojony w fez i kostyum egzotyczny o jaskrawych kolorach. Na pasku, zawieszonym przez szyję, nosił drewniane pudełko, opierając je o brzuch. W pudełku widać było ułożone w papierkach kawałki nugatu różnych odcieni i inne smakołyki tureckie. Widząc eleganckiego pana, wychodzącego z samochodu i zmierzającego do niego, Ahmed na żółtej swej twarzy rozlał jak najprzyjemniejszy uśmiech.

— Prosi panie! — zawołał. — Doskonale! Czikolatowe! Ananasiowe! Pistaciowe!

— Jak się masz, Ahmedzie! — rzekł Panajon po turecku. — Dobrze ci idzie?

Przekupień zdziwiony, iż ten nieznajomy odzywa się do niego w jego rodzinnym języku, stanął jak osłupiały z szeroko otwartemi ustami, ciągnącemi się od ucha do ucha.

— Nie domyślasz się, kto ja jestem? — pytał dalej złodziej. — Zaraz ci to powiem... Gdym cię widział ostatni raz, nie byłem tak szpakowaty... W przeciągu kilku godzin postarzałem się o dwadzieścia lat... Nie wzruszaj się tem. Stało się to nie z powodu zmartwień... A jak handel? Idzie dobrze?

— Ach, panie — westchnął Turek. — Jeszcze nic dzisiaj nie sprzedałem!

— Pudełko twe jednak jest już do połowy próżne.

— Ja je sam, panie, wypróżniłem do połowy... Mam w niem cały swój majątek... Ponieważ od rana nic dotychczas nie zarobiłem, nie miałem za co kupić chleba i musiałem zjeść kilka nugatów, by się pożywić...

— Do dyabła! Nie bardzo cię to posiliło!

— Nie bardzo, panie; jestem głodny, a w dodatku prawie, że zrujnowany.

— Głodny jesteś, mając pod nosem całe pudło przysmaków?...

— O, tak, panie... Ciężkie życie na mnie spadło!

— Słuchaj więc, Ahmedzie! Rzuć ten swój słabo opłacający się kram, a ja się zajmę stworzeniem ci popłatniejszego zajęcia...

— Pan?... Lecz kto pan jest?...

— Gość z restauracyi, w której ty byłeś kelnerem... Tam ciebie poznałem... i oceniłem... Słuchaj, Ahmedzie, czy potrafisz jeszcze pilnować kobiet?

— O, tak, panie!

Przez długie lata Turek ten nie miał innego zajęcia, jak tylko takie. Od piętnastego roku życia, a obecnie miał już czterdzieści, należał do personalu służby, mającej pilnować żony pewnego bogatego obywatela Salonik. Przed kilkoma dopiero miesiącami zrzekł się tych delikatnych funkcyi, by w Paryżu szukać szczęścia.

— Doskonale! — ciągnął dalej Panajon. — Gdybym ci więc ja powierzył jedną?...

— Byłbym dzikim i wiernym psem, panie!

— Dobrześ powiedział! Chodź tu, Ahmedzie; widzę, że potrzebujesz pożywić się.

I Panajon, poprzedzony przez Turka wszedł do znanej kawiarni na rogu bulwaru i ulicy des Ecoles.

— Wódki i pieczeń z garniturem! — zadysponował złodziej.

Ahmed złożył swe pudełko na stole i siadł koło Panajona. Z piersi jego dobyło się głośne westchnienie, ale pełne zadowolenia. Od tego długiego a bezowocnego chodzenia po ulicach z kramem na brzuchu, nogi wrosły mu w ciało.

— Och, panie! — szeptał tonem, pełnym wdzięczności.

Wyciągnął rękę do pudełka, wziął kwadratowy kawałek różowego nugatu i odrazu go połknął. Teraz, kiedy nie potrzebował już handlować niemi, chciał się zemścić na tych łakociach, które mu sprawiały męki Tantala. Wyciągnął znowu rękę i nowy kawałek nugatu znikł w jego szerokich ustach. Za tym poszły wszystkie inne i gdy kelner przyniósł zamówioną pieczeń, ostatni kawałek ulatniał się z pudełka ku zdumieniu obecnych gości, damy za kontuarem i Panajona.

Biła jedenasta godzina, gdy złodziej rozszedł się z Ahmedem. Z restauracyi tej udał się do Opery, a o dwunastej wrócił już do domu na ulicę Boissy-d'Anglas. Zazwyczaj o tej porze Tetard winien był oczekiwać na swego pana, co czynił, śpiąc na kanapie w salonie. Poprzedniego wieczoru po zbyt obfitych libacyach w winiarni, zasnął nawet tak głęboko, iż nie mógł się rozbudzić i pomódz Panajonowi w rozbieraniu się i tym razem złodziej musiał jeszcze sam doprowadzić go do łóżka. Wielkie też było zdumienie Panajona, gdy teraz ujrzał, że służący jego sztywno wyprostowany siedzi w przedpokoju. Powinszował mu nawet tego.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Szarada.

Ułożyła M. Farbowska, Skawina.

Powiedział Heine, że *„drugie-trzecie,*
To tak przy tobie się nie zatrzyma
Jak płoche dziewczę, lub tylko że c'ę
Muśnie po licach i już go niema!“

Że *„wszystkie trzy wraz,* stara matrona,
Co odejść od cię się nie sposobi,
Silnie do twego tuląc się łona,
Siedząc przy tobie pończochę robi“.

Czy *pierwszem* kto tu zaprzeczyć pragnie,
Że prawdy niema w słowach poety?
. . . .
Fatum, na kogo gdy parol zagnie,
Całość mu w darze zsyła niestety!

Logogryf.

Ułożył J. Piątkowski, Podgórze.

W miejsce kwadratów i kresek wstawić odpowiednie wyrazy. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, da nazwisko znanego polskiego rzeźbiarza,

— — — □ — — —
— — — □ — — —
— — — □ — — —
— — — □ — — —
— — — □ — — —
— — — □ — — —
— — — □ — — —
— — — □ — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Miasteczko w Galicyi. 2. Mieszkeniec północy. 3. Pojęcie nicości u Buddyjczyków. 4. Kraj we Włoszech. 5. Wieś koło Krakowa lub Warszawy. 6. Książę polski. 7. Kościół. 8. Kraj w Ameryce południowej.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania **Eugenii Żmijewskiej: „Dola“.** Powieść z przedmową E. Orzeszkowje.

Logogryf.

Ułożył M. Spett, Jodłowa.

Kwadraty i kreski, odpowiednio zastąpione literami, utworzą szereg wyrazów o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd, czytany z góry na dół, poda nam nazwisko jednego z królów babilońskich.

□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Miasto w Stanach Zjednoczonych. 2. Bóg grecki. 3 Inaczej fala. 4. Gwiazda. 5. Strój ludów wschodnich. 6. System pruski. 7. Miasto we Francyi. 8. Akt rządowy. 9. Instrument muzyczny. 10. Rzeka na Litwie. 11. Miejscowość w Galicyi wschodniej słynna ruinami zamku. 12. Inaczej oddział. 13. Utwór Szekspira. 14. Inaczej zasówka.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył D. K. Tatara, San Geuesio.

Z podanych liter ułożyć znane przysłowie:
Ość, gmach, kanarek, teść, szum, jeździecie.

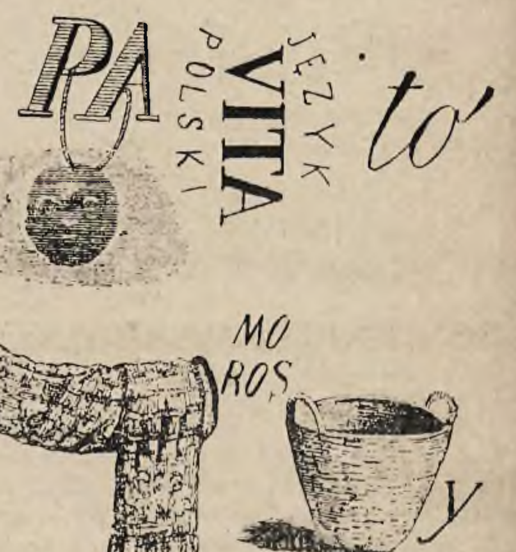
Łamigłówka.

Ułożyła H. Zegartowska, Bogucice.

Podane wyrazy w ten sposób uzupełnić, aby litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, utworzyły imię i nazwisko znanego współczesnego polsktego malarza!

— as
— wo
kt —
ko —
— en
— to
ma —
ew —
— is
— op
on —
wr —
— ąs
— nn
mo —
be —

REBUS.



„AUTO“ Kraków

Plac Szczepański 2

Numer telefonu 107.

Wyłączne zastępstwo Daimler'a.
Wszelkie przybory automobilowe.
Pneumatyki, benzyna, oliwa.
Fabryczny skład angielsk. przyborów sportowych.
Tennis, Piłka nożna Hockey, Golf.
Saneczki i narty. Sport turystycz. letni i zimowy.



Moja ostatnia rada kochana córko!

używaj zawsze tylko zatrzasek

„KOH i NOOR“

wówczas będziesz za praktyczną kobietę uchodziła i nie będziesz nigdy miała przykrości ze sukniami, gdyż nie odpinają się same, nie rdzewieją i z powodu ich trwałego wykończenia są zawsze do użycia, **jednem słowem są to zatrzaski najlepsze jakie istnieją.**

Najwyższe odznaczenia na wystawach: Wiedeń, Praga 1908, Paryż 1909.
Piśmienne uznania pierwszorzędnych krawców świata jak: Wortha, Pequina, Dresolla i t. d,

Wartościowe kupony premiowe. Katalog premiowy gratis.

Waldes i Ska, Praga-Wrszowice

fabryki towarów metalowych Drezno i Warszawa.
Składnice: Paryż i Londyn.

Proszę baczyć na stempel gwarancyjny, który na każdym zatrzasku **Koh i noor** nawet i przyszytym jest widoczny.

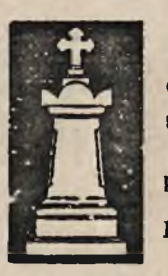
KIN

Tanie czeskie **PIERZE**



5 kilo: nowego dartego K 9·60, lepszego K 12, białego dartego miękkiego jak puch K 18 i 24, śnieżno białego dartego miękk. jak puch 30 i 36. Wysyłka franko za zaliczką, zamiana i zwrot opłatnie dozwolona

Benedykt Sachsel, Lobes N. 265 obok Pilzna, Czechy.



Zakład artyst.-kamieniarski i budowlany

Józefa Kuleszy

naprzeciw cmentarza w Krakowie

Telefon 759.

posiada wielki wybór gotowych pomników z piaskowca, granitu i marmuru. Podejmuje się wykonania grobowców w miejscu i na prowincyi.

STRZELBY



Jednolufki	od Kor.	26·—
Dubeltówki	„ „	35·—
Floberty	„ „	8·50
Pistolety	„ „	2·—
Rewolwery	„ „	5·—

Naprawy możliwie najtaniej. Bogato illustrowany Cennik darmo i opłatnie.

F. DUŠEK
fabryka broni
w Opočno Nr. 485.
a. d. Staatsbahn. Czechy.

Niezbędny jest mój słynny w świecie

Garnitur do golenia Nr. 8730



w pięknie politurowanej skrzynce 20 cm. długiej, 15 i pół cm. szer., 6 cm. wysokiej, zamykanej, z **ruchomem zwierciadłem do golenia,** zawiera wszystkie przybory, potrzebne do golenia:

1. Brzytwę z najlepszej srebr. stali Solingen, przewybornie wyostrzoną, nadającą się do każdego włosu, gotowa do użycia.
2. Dobry pasek do pociągania.
3. Pudełeczko masy do ostrzenia.
4. Pudełeczko z mydłem antyseptycznem.
5. Niklowaną miseczkę.
6. Pędzel z niklowaną rączką.

Komplet I-szej jakości **tylko K 5·—**

Takisam garnitur, **ale brzytwa z przyrządem ochronnym** dla niewprawnych (okaleczenie niemożliwe) z poleczeniem **Kor. 5·60.** Przewyborny garnitur do golenia, zawierający zamiast brzytwy, przyrząd bezpieczeństwa „Korona“ dla niewprawnych bardzo polecenia godny **Kor. 6·—. Bez ryzyka!** Wymiana dozwolona, lub zwrot pieniędzy.

Wysyłka za zaliczką lub po otrzymaniu należytości.

C. i K. NADW. DOSTAWCA

Hanns Konrad DOM wysyłkowy **w Brüx Nr. 3600**

(Czechy). Za darmo i opłacony wysyłam na żądanie każdemu katalog główny z przeszło 3000 rycinami.

Najtańsze maszyny

do robienia pończoch

w **Austro-Węgrzech** dostarcza Dom wysyłkowy

J. F. Nouzák, Praga

(Czechy) **Riegerquai 24/47.**

Cenniki darmo. Dzienny zarobek 4 korony.

Fabryka lalek, oraz Klinika, Kraków, Wolska 1
wysyła za zaliczką odwrotnie każde zamówienie.

Nowa lalka z figurą i modną fryzurą dla starszych dziewczątek do nauki kroju i szycia (własny wyrób)



Wielkość i cena: 53 — 10 K, 57 — 11 K, 62 — 13 K bez stroju.
Ubrana jak na illustr. K 18, 20, 22, 24 i t. d.

Odpowiedni podarunek na Gwiazdkę!



Bardzo interesujący dla dzieci jest mój „**Kinematograf**“ również do użycia jako „**latarnia magiczna**“. jest 33 cm. wysoki, z troj-kolorowymi obrazami paskowymi (films) i 6 szklanych obrazów 3 i pół cm. szer. naftową lampą, reflektorem i kompletnem objaśnieniem na kartonie K 16·—. Przez ten „Kinematograf“ mogą być tak przez młodszych, jak i starszych mile widziane **żywe obrazy** przedstawione na ścianie. Mechanizm jest bardzo prosty i pojedynczy, tak, że każde dziecko może go bardzo łatwo poznać. Wysyłka za zaliczką.

C. i k. nadw. dostawca

Hanns Konrad, Dom wysyłk. w Brüx Nr. 3603 (Czechy).

Gł. katalog z przeszło 3000 rycin. na żądanie darmo i opłatnie.

SINGERA „66“ najnowsza i najdoskonalsza **maszyna do szycia**

ORYGINALNE SINGERA MASZYNA DO SZYCIA

SINGERA Maszyny nabyć można li tylko **w naszych składach**

Singer Co. Tow. Akc. Maszyn do szycia
Kraków, ul. Szpitalna L. 40, vis á vis teatru.

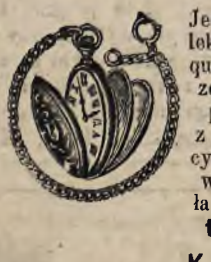
Widokówki ze Wschodu

Artystycznie w pięknych barwach wykonane. Polecenia godne szczególnie dla zwiedzających i amatorów. Z piękniejszymi widokami: Rzymu, Indyi, Egiptu, Palestyny, morza Śródziemn. Lewanty i wybrzeża Dalmacyi, jakoteż z widokami życia ludu wschodniego w seryach po 6 sztuk wysyłamy [illegible]tnie za poprzedniem na[illegible]niem 55 hal., 10 rozmai[illegible]ryi po 6 szt. (60 szt.) [illegible]zką K 4·50, 20 seryi [illegible] szt.) K 8·—. [illegible]zniej jest wypisy[illegible] zamówienie na odcinku przekazu.

C. i k. nadworny dostawca

Hanns Konrad
w Brüx Nr. 3639 Czechy.

[illegible] gł. z 3000 rycinami [illegible]amy darmo i opłatnie.



Jeden elektroplaque złoty zegarek płaski z metal. cyferblat. wraz z łańcuszk. **tylko K 4·70.**

Proszę zażądać bogato illustrowanego cennika zegarów, biżuteryi, instrumentów muzycznych i przyborów zegarmistrzowskich.

Ignacy Cypres
Kraków, Floryańska 49.

Krem do zębów **KALODONT** Woda do ust.

KRZYŻMO.

Jedynym i bezwarunkowo potrzebnym podarkiem do chrztu jest **Płótno krzyżmowe** z odpowiednią artystycznie wykonaną marką zarejestrowaną do L. 1116, do nabycia tylko

w Magazynie Braci Towarnickich, Lwów, Akademicka 6.

1 mała sztuczka	**K**	**8·50**
1 większa	„	**12·60**
1 cała	„	**17·—**

wraz z opakowaniem, franko do każdej miejscowości za zaliczką poczt. Wystarczy zamówić kartą korespondencyjną, w razie niezadowolenia zwracamy natychmiast pieniądze.

Płótno **krzyżmowe** jest znakomitem na bieliznę dziecinną i wszelką inną, opakowane w pięknym kartonie.

200 Kor. nagrody wypłacimy temu, kto nam doniesie o podrabianiu naszej marki.

MLECZARNIA ŁUCZANOWICKA

WŁADYSŁAWA HR. MYCIELSKIEGO

w Krakowie, ul. Podwale 6. Telefon 590.

Dostawia:

Mleko i Śmietankę

we flaszkach hermetycznie zamkniętych, do mieszkań i poleca znakomitą KAWĘ w sklepach własnych

przy ul. Podwale l. 7 i ul. Siennej l. 7 (Mały Rynek)

FILIE: przy ul. Długiej l. 13.
„ „ Rakowickiej l. 7.
„ „ Szpitalnej l. 21.
w Podgórzu Rynek l. 2.

Wysyłki masła na prowincyę nakuteczniej się odwrotną pocztą.

Właściciel, wydawca i redaktor odpowiedzialny: Stanisław Lipiński. Klisze z własnego zakładu Drukiem D. E. Friedleina w Krakowie.